CENA ZŁ 20 **W numerze: BAUMGARDTEN — FEUCHTWANGER — HELSZTYŃSKI — SULIMA**

CZYTELNIK

Odra tygodnik

WROCŁAW KATOWICE

NUMER 18 (180) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 22 MAJA 1949 ROKU ROK V

Znaki przemiany

W okresie wielkich ruchów międzynarodowych, w okresie ogromnej walki o powszechny pokój, w okresie zwycięstwa socjalizmu na wszystkich frontach, w okresie, gdy łączą się ludzie kultury i nauki i gdy podnoszą się pięści robotników wszystkich narodów w stronę feudalnych pałaców kapitalistycznych — patrzymy na Niemcy, ciekawi, czy i tam dzieje się ta przemiana świata, czy i tam myślą o naprawie, skruchą i pracą i wiarą budując na gruzach faszyzmu lepszy świat wolnego człowieka.

Na tej stronicy dajemy parę głosów niemieckich i jeden polski, szukający zarysów pomostu, jaki przerzucają górnicy polscy i niemieccy między obu narodami. Pomostem tym jest praca, dążąca do tego samego celu: do uszczęśliwienia ludzkości, do wiary w człowieka.

Pokój — wołały szpalty dzienników całego prawie świata. Pokój — wołają nieustannie tłumy, wylegające na ulice wielkich miast. Pokój — wołają także wszyscy ludzie dobrej woli z terenu Niemiec. Musimy jednak zaznaczyć, że głosy, które wybraliśmy i wizerunek czołowego górnika niemieckiego — to rzeczywistość jednej tylko części Niemiec. To rzeczywistość wschodniej strefy okupacyjnej Niemiec. W zachodnich wciąż jeszcze panuje gorączka wojny, gorączka odwetowa, gorączka niewypłowiałego snu o potędze. Uchwaloną niedawno w Bonn „ustawę podstawową" republiki związkowej Niemiec zachodnich niektóre dzienniki angielskie nazwały skromnie ustawą na wyrost a tymczasem ustawa ta doskonale w paru punktach oddaje prowokacyjną atmosferę tych części Niemiec. Oto jeden z jej punktów: „Konieczna do prowadzenia wojny broń może być produkowana, przekazywana i rozprowadzana jedynie za zezwoleniem rządu związkowego."

Dlatego też przyglądamy się spokojnie temu, co się dzieje we wschodniej strefie okupacyjnej Niemiec, zapamiętujemy sylwetki uczonych, pisarzy i robotników, polityków, którzy śmiało opowiadają się za wspólną naszą granicą pokoju, młodzieży, która pragnie pokojowego współdziałania z młodzieżą całego świata. Dlatego też — poświęcając wiele uwagi Niemcom — pragniemy przede wszystkim zbliżyć czytelnikowi polskiemu tych Niemców i zanotować te ich głosy, które możemy uważać za znaki przemiany. (brz.)

Paul Robeson, śpiewak murzyński, jest rewelacją także i dla Niemców, którzy wychowani wśród przesądów rasistowskich zaczynają nagle odkrywać wartości w każdym człowieku bez względu na kolor jego skóry i na przekonania. Przypominają sobie nagle powiedzenie Goethego, że człowiek ma ogromne wartości wtedy, kiedy się je chce w nim widzieć, kiedy się je w nim odkrywa, kiedy się je pobudza. Robeson jest także symbolem pokojowej kampanii ludzi całego świata, symbolem równości wszystkich ludzi, symbolem prawdy, która odbija się w sztuce, najszczytniejszej czynności ducha ludzkiego. Ze śpiewakiem Robesonem — czytamy w jednym z pism niemieckich — pójdziemy szlakiem pokoju, na przekór dziejom naszej ojczyzny, na przekór obłędnym teoriom o wartościach jednych a bezwartościowości innych ludzi. Murzyni i Żydzi, Niemcy i Chińczycy łączą się w pragnieniu pokoju, w wierze w pokój i ludzkość!

Idzie o pokój świata — mówi pastor krajowy Heinrich Schwartze —, wybrać możemy tylko jedno, a to drogę, po której kroczą wszyscy bez względu na różnice wiary i rasy, poglądów i przynależności partyjnej. A więc drogę pokoju! — Na tej stronie drukujemy jego wypowiedź.

PAWEŁ KUPKE

Rębacz Hennecke

LUGAU, w maju 1949.

Ilekroć rozmawiamy z naszymi przodownikami pracy na Śląsku, ilekroć zjeżdżamy do Zabrza czy Gliwic i wnikamy w pracę i stosunki rodzinne, spotykamy się z pytaniami, które nie mogą pozostać bez odpowiedzi. Niedawno — gdy bawiliśmy na kopalni Zabrze—Wschód — otoczyła nas grupa górników, których stosunki rodzinne były poplątane przez to, że część ich rodzin, ewakuowana przez cofające się oddziały i urzędy hitlerowskie do Niemiec, nie mogła dotąd powrócić. Ale od ludzi tych przychodzą listy. Ludzie ci piszą coraz życzliwiej o Polsce, której jeszcze nie widzieli, a o której ustna propaganda ulicy niemieckiej mówi na ogół mało życzliwie. Co jest powodem tej powolnej, lecz istotnej przemiany człowieka z ulicy, w dodatku wychowanego na pograniczu, w gęstych oparach osobliwego hitlerowskiego szowinizmu? Czy tylko głosy prasy? Ale człowiek ten otrzymuje do rąk nie tylko prasę życzliwą Polsce, wciskają mu do rąk także dzienniki i czasopisma, które dotąd czerpią z najgorszego słownika prasy hitlerowskiej, które dotąd nie ustają w jawnych czy ukrytych atakach na Polskę i Polaków. Powodem tej przemiany są po prostu przemiany w niemieckich masach roboczych.

Kiedy w Polsce zaczęła się idea współzawodnictwa pracy, gdy pojawił się u nas symbol Pstrowskiego — reakcyjna prasa niemiecka, korzystając z każdej możliwości ośmieszenia polskich porządków na Ziemiach Odzyskanych, a zwłaszcza na odzyskanej części Śląska, gorliwie wykorzystywała to „szaleństwo" (Wahnsinn) dla antypolskich, obliczonych na najniższe psychologiczne zwycięstwa wypadów. Tymczasem i tu dotarł socjalizm. We wschodniej strefie zaczęli działać politycy, zaczęła działać SED, partia, która przebyła olbrzymią drogę, jeśli chodzi o jej wyraźny stosunek do takiego drażliwego problemu, jak granica na Odrze i Nysie, we wschodniej strefie okupacyjnej zaczęły wreszcie działać ośrodki młodzieżowe, z których wychodzić poczęła młodzież odzierana powoli z nienawiści, z fanatyzmu rasistowskiego, ćwiczona w narodowej tolerancji, jeśli jeszcze nie w pełnym humanizmie.

Tymczasem pojawił się rębacz Adolf Hennecke, który tak jak u nas Pstrowski stał się dla Niemiec wschodnich prawdziwym symbolem pracy górniczej i socjalistycznych jej osiągnięć. Rębacz Hennecke nadał górnictwu niemieckiemu nowy sens. Hasła: Ciepła dla Berlina i węgla dla szkół i koksu dla naszych pokojowych fabryk — to hasła bez pokrycia, gdyby nie Hennecke i ludzie ruchu, który Hennecke zapoczątkował.

W radio zachodnich sektorów Berlina często powtarzają złośliwe anegdoty o rębaczu Henneckem. Biorą go za symbol bałaganu berlińskiego, polecają go jako kulisa wobec trudności komunikacyjnych w mieście, wywołanych n. b. polityką walutową zachodnich okupantów, typują go na Nurmiego komunizmu. Nurmi komunizmu, samo już to zestawienie dowodzi nieporadności i zakłopotania zachodnioberlińskich komików i konferansjerów. Ale jeżeli praca Henneckego służy odrodzeniu socjalistycznemu Niemiec, jeśli służy pokojowej ich rozbudowie, jeśli w niej znajduje naród niemiecki nową ostoję i nowy kierunek drogi — niech będzie Nurmim komunizmu ten skromny rębacz, który niedawno — panując nad przesądami narodowościowymi, jak przystało na prawdziwego socjalistę — powiedział:

„Praca górników polskich była dla mnie ogromną podnietą. Kiedy czytałem w gazetach naszych o osiągnięciach górników polskich, kiedy uświadomiłem sobie w dodatku, jak bardzo zniszczyliśmy ten pracowity kraj, zrozumiałem, że w pracy górników polskiego Śląska leży przykład dla nas. Ja ten przykład uznaję i pragnę go nadal podpatrywać. Uczmy się od górników polskich".

Nad kopalnią imienia Karola Liebknechta, wielkiego rewolucjonisty niemieckiego, zamordowanego przez reakcyjną klikę oficerów w listopadzie 1919, powiewają takie same czarne flagi dymu i sadzy, jak u nas nad Rudą czy Zabrzem. Tutaj na tej kopalni, w rewirze zniszczonych miast i potratowanych lasów, w ciągu niespełna pół roku z jednego skromnego rębacza Henneckego wyrosło siedmiuset takich samych, z których każdy mógłby się z dumą nazwać Hennecke. Chcemy pokazać górnikom całego świata, że umiemy pracować, że właściwszy i bliższy jest nam kilof, niż karabin, że pragniemy dawać ciepło, a nie śmiercionośny ogień — przemówił jeden z nich na zebraniu SED w cechowni kopalnianej. Gdy notujemy te słowa, pragniemy w komentarzu wyrazić tylko jedno: oby to były szczere wyznania. Wówczas w imię socjalizmu i szeroko pojętego humanizmu będziemy mogli uznać górników niemieckich za godnych maszerowania w tym samym szeregu, co my.

Rys. Kurt Zimmermann

Na razie maszeruje w nim Hennecke i jego towarzysze. Symbol Hennecke staje się powoli symbolem nowych Niemiec. O tym chcemy pamiętać.

Po tamtej stronie kopalni, z tamtej strony zbocza, na którym zieleni się pierwsza wiosenna roślinność, leży miejscowość Lugau. Jesteśmy w okręgu Zwickau, zwiedzamy kopalnie, o których powiedziano nam, że wyróżniają się pracą i świadomością polityczną robotników. Pierwsza ulica na skraju osady nazywa się jeszcze Szyb Bożego Błogosławieństwa, ale kopalnie noszą już nowe nazwy. Natykamy się też wkrótce na stary budynek dawnej „Gewerkschaft", który zamieniono na czyste, prawie eleganckie mieszkania górnicze. Wchodzimy do jednego z nich i rozmawiamy z panią Hennecke. Mąż studiuje w tej chwili na szkole partyjnej w Mittweida. Ludzie z początku unikali ich, wyzywali ich, dość nałykali się wstydu i upokorzenia. Trzy córki Henneckego także nie mało zniosły z powodu ojca, który uparł się, że będzie pierwszym górnikiem w kraju. Nad wypłowiałą sofą zaramowany dyplom uznania, pamiątka pierwszych sukcesów. Mieszkanie skromne, ale pani Hennecke nie marzy w tej chwili o innym. Nad osadą dym coraz czarniejszy, to bucha najniższy komin, o którym mówią tutaj, że straszy zawsze jak Hitler. Mają humor ci ludzie z osady Lugau, w której gnieździ się rodzina Henneckego.

Przed paru laty kopalnie, szyby i ulice nazywały się tutaj inaczej, niż dziś. Zwickau, rdzawe od dymu i kłębów koksowni — zniszczone dziś jak wszystko, co się pyszniło przed światem. Wojna zniszczyła wiele w tym kraju, ale odsłoniła kraj dla inwazji nowego ducha. Tutaj leży teraz centrum systemu nerwowego nowych Niemiec, jeśli chodzi o pilność i gorliwość w pracy.

Rębacz Hennecke jest robotnikiem. Dla rębacza Henneckego mamy wiele szacunku i pragniemy, by z nim następowała przemiana Niemiec, która da nam życzliwego, nastawionego pokojowo sąsiada, biorącego przykład z naszej pracy i z naszych socjalistycznych osiągnięć.

PAWEŁ KUPKE.

LUITPOLD STEIDLE

Po obu stronach Odry i Nysy

Przed paru tygodniami opublikowaliśmy na tym miejscu artykuł GEORGA HONIGMANNA, zatytułowany: „Odra — Nysa staje się granicą pokoju także w oczach polityków niemieckich", który poprzednio ukazał się w „Berliner Zeitung". W tym samym dzienniku z dnia 4 maja 1949 znajdujemy nowy artykuł, napisany przez znanego polityka CDU, LUITPOLDA STEIDLEGO, zajmujący się tymi samymi problemami. Również i ten artykuł podajemy w polskim tłumaczeniu czytelnikom naszym do wiadomości.

W tym ważnym dla każdego Niemca układzie stosunków czas zmusza do zajęcia jasnego stanowiska. Jeżeli dotychczas nawet decydujący w sprawach polityki i gospodarki mężowie i kobiety unikały określenia tej konieczności, to uważam, że dzisiaj można za to jeszcze tylko ciężką ponosić odpowiedzialność, albowiem każda niejasność mimowoli wzmacnia tylko najbardziej sprzeczne pojęcia wśród ludności. Tym bardziej uważam, że obowiązkiem naszym jest stworzyć już dzisiaj wokół tej sprawy rzeczowo jasną i spokojną atmosferę. Jakże prościej dałoby się wtedy na przykład rozwiązać problem osiedlenia wielu tysięcy przesiedleńców.

Pozwólmy przemówić faktom. Przed paroma dniami wróciła z Poznania delegacja DWK (Deutsche Wirtschafts-Kommission). W związku z otwarciem XXII Międzynarodowych Targów mieliśmy okazję słyszeć i widzieć, a przede wszystkim swobodnie rozmawiać z ludźmi tego kraju. Byliśmy jako przedstawiciele naszego narodu tam, gdzie dano nam możliwość nie tylko przebywać jako goście, ale w związku z rozwojem handlu zagranicznego sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec pogłębić także stosunki gospodarcze z Polską. W związku z tym poddaję pod rozwagę, że Polska jest krajem, który w tej chwili z 28% obrotu handlu zagranicznego naszej strefy zajmuje drugie miejsce wśród piętnastu innych krajów.

DWK została zaproszona do wzięcia udziału w wystawie poznańskiej i w związku z tym do zaprezentowania odpowiednio bogatej kolekcji towarów powojennej produkcji niemieckiej. Było to dla nas wydarzenie niepoślednięj miary, gdyśmy zarówno na dworcu jak i w obrębie wystawy pośród chorągwi innych biorących udział w targach narodów odkryli także naszą czarno-czerwono-złotą chorągiew. Czy nie jest to znak, że nasze rzetelne usiłowania znalezienia drogi do rzędu miłujących pokój narodów były skuteczne? Nawet nie rozumiejąc ostatnich politycznych zawiłości w poszczególnych wypadkach, w fakcie tak publicznego i nieskrępowanego pokazania chorągwi niemieckich obok flag innych narodów zauważy każdy bez uprzedzeń więcej aniżeli jedynie uprzejmy gest rządu polskiego. W fakcie tym zawarta jest bez wątpienia jednoznaczna decyzja „tamtej strony linii Odra — Nysa" w odniesieniu do tej części naszego niemieckiego narodu, która przezwyciężyła nieszczęsną politykę naszej niemieckiej przeszłości i dzisiaj na serio stara się znaleźć nowe stanowisko, stanowisko pokojowych demokratycznych Niemiec, w kręgu innych narodów.

Czy można wobec takiego wydarzenia zająć stanowisko wyczekujące, czy może zgoła negatywne? Czyż nie powinniśmy raczej okazać się wdzięcznymi za to, że niemieckiemu narodowi daje się w ten sposób możliwość poruszania się znowu w kręgu innych narodów, jakkolwiek ostateczne zawarcie pokoju jest jeszcze sprawą przyszłości?

Właśnie dlatego trzeba ze szczególną wdzięcznością podkreślić gotowość polskich placówek rządowych w kierunku umożliwienia czynnikom gospodarczym strefy wschodniej uczestnictwa w targach. Ta gotowość wychodzi z kraju, który został przez reżim hitlerowski i wojnę najbardziej poszkodowany.

Bodaj żadne inne wydarzenie, jak właśnie Międzynarodowe Targi w Poznaniu, nie nastręcza lepszej okazji do przypomnienia sobie rozstrzygających ugód, które doprowadziły do ustalenia linii Odra — Nysa, przez co państwo polskie otrzymało granice na zachodzie; z obszaru tego obesłali Polacy swoje targi najlepszymi wyrobami wszelkiego rodzaju.

W Układzie Poczdamskim została linia Odry i Nysy określona co prawda jako granica tymcza-

(Dokończenie na str. 2)

BERTOLD BRECHT

Pochwała nauki

Ucz się najprostszych rzeczy! Dla tych,
Których czas nadszedł, nigdy
Nigdy nie jest za późno!
Ucz się abecadła, nie wystarczy to, lecz
Ucz się! Nie żałuj sobie tego!
Zaczynaj! Wiedzieć wszak musisz wszystko!
Ty musisz przejąć wodzostwo!

Ucz się, któryś jest na wygnaniu!
Ucz się, któryś jest we więzieniu!
Ucz się, kobieto w kuchni!
Ucz się, sześćdziesięcioletni!
Ty musisz przejąć wodzostwo!
Za szkołą się rozglądaj, bezdomny!
Za wiedzą się uganiaj, który marzniesz!
Ty któryś głodny, bierz książkę: to broń!
Ty musisz przejąć wodzostwo!

Nie bój się swoich pytań, towarzyszu!
Niech ci nie wmówi nikt,
Zobacz najlepiej sam!
Czego sam nie wiesz, tego
Tak jakbyś wcale nie wiedział:
Rachunek sprawdź,
Bo ty go płacić będziesz.
Palec na każdej pozycji kładź
I pytaj: skąd ona się wzięła?
Ty musisz przejąć wodzostwo!

Z niemieckiego spolszczył **JACEK BRZYM**

Chrześcijanie nie mają żadnego wyboru

W obliczu kongresu pokoju w Paryżu również i chrześcijanie niemieccy zmuszeni są do wyrażenia swego zdania w tej tak ważnej dla całego świata sprawie. Byłoby rzeczą niemożliwą, żeby chrześcijanie niemieccy fakt ten zauważyli zaledwie, nie biorąc udziału ani w przygotowaniach ani w kontynuacji obrad kongresu, jakby to ich nic nie obchodziło. A tymczasem nie ma w tej chwili żadnego problemu ważniejszego od tego, by chrześcijanie we wspólnocie z wszystkimi ludźmi przeciwstawili się tym siłom i ośrodkom dyspozycyjnym sił, które nie tylko nie dążą do pokoju ale nawet uznają wojnę za właściwy środek do narzucenia swych poglądów innym narodom i ludziom.

Nie posiadam mandatu na wyrażanie zdania całego niemieckiego Kościoła lub jednego z wyznań, działających na terenie Niemiec. Ale tym chrześcijanom, którzy w marksizmie odnaleźli właściwy kierunek przemiany świata i którym zależy na przyjaznych stosunkach z narodami Związku Radzieckiego i innymi, pragnę powiedzieć, co w oparciu o ewangelię uważamy za konieczne i o co walczymy. Życzeniem moim i moich przyjaciół jest przekonanie tych wszystkich chrześcijan, którzy mniej od nas wierzą w marksizm, o chrześcijańskiej powadze naszego stanowiska i o jego ewangelicznej tożsamości.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że prawdziwe chrześcijaństwo i wojna to dwa kontrasty, nie do pogodzenia z sobą. To poznanie, przekazane nam przez ewangelię i poważnie realizowane w życiu przez pierwsze gminy chrześcijańskie, jest ogólne także w dziesiejszym Kościele niemieckim. Nie chcę tu wspominać o fałszywych drogach, którymi kroczyli chrześcijanie od czasu uznania religii chrześcijańskiej jako obowiązującej w państwie przez cesarza Konstantyna w roku 325. Drogi te znamy nadto dobrze. Ukazują nam one bolesny rozdźwięk między tym, co w Kościele było a tym, co powinno było być. Jeśli o nas Niemców chodzi, to pragniemy przede wszystkim stwierdzić, że już w czasie pierwszej wojny światowej myślenie nacjonalistyczno-imperialistyczne wyparło z życia i myśli wielu Niemców przykazania Jezusa. Przypominamy sobie dobrze te różne wywody, których używała teologia wojny, pragnąca pozyskać Jezusa Chrystusa dla swych światowych celów.. Po roku jednak 1918 doszło u nas do wymiany zdań między obu partiami Kościoła, przy czym zwolennicy wojny musieli się tłumaczyć przed zwolennikami pokoju, czy istotnie wojna jest środkiem chrześcijańskim przy załatwianiu sporów między narodami. Oczywiście teologom wojny trudno było obronić swe stanowisko bez gwałcenia ewangelii. Wiemy jednak, że raczej pogwałcono ewangelię...

Teologowie wojny różnych używali środków, by tylko udowodnić, jaką oni mają rację. Mówili więc, że pociąg człowieka do grzechu przejawia się między innymi w tym, że raz po raz wybuchają wojny jako nieuniknione gejzery ludzkiego zepsucia i grzechu. Pokój światowy — według tego rodzaju usutanionej nawet teologii — to idealistyczna mrzonka, nie do wykonania w obliczu realnej postawy człowieka. Wojny były zawsze i wojny zawsze będą. Przykre ale nie do zmiany.

Tego rodzaju poglądy to woda na młyn imperialistów, którzy tym samym pilniej zaczęli wykonywać swe rzemiosło, radzi, że również i boski porządek je uznaje. W rzeczywistości jednak ewangelia uznaje zarówno poglądy o grzesznej istocie człowieka, to znaczy o istocie Bogu niemiłej i obcej, jak i wiarę w możliwość wyzbycia się grzechu a w każnym razie wiarę w Chrystusa, który to może uczynić. Jezus nigdy nie twierdził, że człowiek jest takim jakim jest, ale żądał zawsze, by człowiek wyzwolił się ze swych nieprawości, by poszedł za Nim. Nie ulega wątpliwości, że pójście za Nim nie oznacza służby staremu psychicznemu porządkowi, ale oznacza rezygnację ze zła, choćby to kosztować miało jak najwięcej.

Wówczas zatem po pierwszej wojnie chrześcijańscy przeciwnicy wojny byli w mniejszości. Dziś, po doświadczeniach dwóch lat, nie ma chyba nikogo wśród teologów, wykładających na uniwersytetach, który by pozwolił przemówić wojnie ze swej katedry. Nie mniej istnieją wątpliwości, czy możliwym jest stworzenie takiego porządku społecznego, który wykluczy wojnę z całą pewnością. Do tego powiedzieć trzeba co następuje:

Wojny nie są katastrofami natury, których chce Bóg i los, przeciw którym opadają ręce, ale wojny to planowo przygotowane, z woli ludzi powstałe przedsięwzięcia, mające na celu, przy pomocy wszystkich stojących do dyspozycji środków podbicie lub wyniszczenie innych. Istota wojen wynika z charakteru klasowego ludzkiego porządku społecznego. Jak długo społeczność podzielona jest na klasy, tak długo należy oczekiwać wojen! Marks i Engels mają bezwzględną rację, gdy twierdzą, że historia dotychczasowej społeczności to historia walk klasowych. Historia ta jest historią wojen ludzkości. Usunięcie wojny będzie możliwe, gdy nastanie era bezklasowego społeczeństwa.

Toteż zadaniem chrześcijan jest pomagać masom pracującym w walce o urzeczywistnienie bezklasowej społeczności. Pokoju światowego nie stworzyła ani zapowiedź i proroctwa nauk chrześcijańskich ani wiedza filozofii humanistycznej, która wprawdzie uderzyła w sumienie ludzkości ale nie potrafiła zmienić stosunków społecznych. Nie pomaga dobra wola, gdy chce się zwalczyć społeczne stosunki klas. Trzeba stworzyć odpowiednie warunki, by dobra wola pokoju stała się potęgą!

W niczym nie naruszając tej swojej postawy, chrześcijanie odpowiedzialni i socjalnie sprawiedliwi, wyrażają całą serdeczną swą solidarność z tymi, którzy walczą z prorokami i pracownikami wojny. Nie ma walki o pokój na świecie, w której mogłoby braknąć chrześcijan! Chrześcijanie w Niemczech, jakiekolwiek by zasady partyjne wyznawali, muszą także przyłączyć się do tego chóru, chyba,.. chyba, że przestali być chrześcijanami.

Przygotowań wiele trzeba, by rozpocząć wojnę. Pokój nie po to jest, byśmy się przypatrywali bezczynnie robocie macherów wojennych a potem, gdy wojna wybuchnie, wyrazili swe zdania o złym zbrodniczym świecie. My, przyjaciele pokoju, musimy być bardziej gorliwi i pilni w swej pracy od tamtych, zakapturzonych lub jawnych macherów wojennych. Tutaj chrześcijanie nie mają żadnego wyboru! Prace kongresu paryskiego i innych, gdziekolwiek by się odbyły, musimy uważać za swoje własne, bo z naszej wypływają woli i dla naszego bezpieczeństwa!

HEINRICH SCHWARTZE

Bojownik o pokój Ossietzky

Wspomnienie

Niewątpliwie, Karol von Ossietzky nie jest emigrantem i nie wniósł nic do uprawianej tu literatury. Ale właśnie on był jednym z tych, z którymi my wszyscy na obczyźnie czuliśmy się związani i o których myśleliśmy, gdyśmy naszą wolność pojmowali jako zobowiązanie. Dlatego jego sprawa była sprawą wszystkich wolnościowo usposobionych pisarzy niemieckich i stała się rychło sprawą całego świata. Pisał on przecież w „Weltbühne" najbardziej cięte artykuły, pisał je swoim czystym, własną osobowością nacechowanym, trafnym stylem, sam będąc pisarzem o niezwykłym talencie, który całkowicie poświęcił walce o europejski pokój.

Militaryści pruscy bali się zawsze tego umysłu. Wiedzieli oni, co czynią, kiedy go — bez uzasadnionych podstaw prawnych, jeszcze podczas republiki weimarskiej — wtrącili do więzienia. Już te wydarzenia poruszyły mocno niemieckich pisarzy, a przez nich opinię publiczną świata.

Rzecz oczywista, że Ossietzky znajdował się od samego początku na czarnej liście sporządzonej przez Narodowych Socjalistów i powędrował w noc podpalenia Reichstagu do obozu koncentracyjnego. Najbardziej oburzające wieści o jego stanie przedostały się do zagranicy.

Już w r. 1934 wyszła z Ligi Obrony Praw Człowieka w Strassburgu zachęta, ażeby wreszcie raz wyróżnić przez przyznanie nagrody Nobla prawdziwego męczennika za sprawę pokoju, właśnie Ossietzkiego.

Jakkolwiek myśl ta została natychmiast podjęta ze wszystkich stron i w wielu krajach urządzono wielką ilość manifestacji na cześć Ossietzkiego, nagroda w tym samym roku nie była jeszcze aktualna, jako że warunki fundacji odnośnie propozycji nie były spełnione. Norman Angell i Artur Henderson otrzymali wspólnie nagrodę. W roku 1935 niezmordowana działalność wielu pisarzy przyniosła owoce i żądanie nagrody dla Ossietzkiego było coraz głośniejsze. Światowej sławy poeci i pisarze wstawili się za nim, m. in. Lion Feuchtwanger, Helmut von Gerlach, Henryk Mann (w tomie „Odwaga" są cztery artykuły o Ossietzkim), Romain Rolland, oprócz nich jeszcze wielu uczonych i polityków. 21. listopada 1935 wyszła z Oslo wiadomość, że nagroda pokoju za rok 1935 nie będzie przyznana.

Następne dni przyniosły przykre wydarzenie, mianowicie napaść Knuta Hamsuna na bezbronnego, skrzywdzonego więźnia „Trzeciej Rzeszy", którą natychmiast odparł Nordahl Grieg, a następnie duża grupa norweskich pisarzy. Zainteresowanie świata dla Ossietzkiego wzrosło w związku z tym jeszcze bardziej.

W r. 1936 wszczęto na całym świecie kampanię za przyznaniem nagrody pokojowej człowiekowi, który ciągle jeszcze cierpiał w obozie koncentracyjnym „Trzeciej Rzeszy". Wielkie grupy parlamentów wielu krajów przyswoiły sobie ten projekt (por. art. Kurta Singera i Felixa Burgera, Carl von Ossietzky, Zurych 1937 i Bertolda Jacoba, Weltbürger Ossietzky, Paryż 1937). Także Tomasz Mann, jako laureat Nobla szczególnie do tego uprawniony, wstawił się za Ossietzkim artykułem w „Göteborg Handels- och Sjöfartstidning", kiedy wypłynęła wiadomość, że prezydent Masaryk i on są kandydatami do nagrody.

Pomimo wielkiej potęgi opinii publicznej świata, która popierała ten projekt, był to w stosunku do „Trzeciej Rzeszy" odważny czyn konserwatywnych mężów norweskich, gdy po dwuletnim, ciągle wznawianym badaniu przyznali oni w dniu 23 listopada 1936 r. nagrodę pokojową Karolowi Ossietzkiemu, którego jeszcze 26 marca 1936 minister propagandy Rzeszy nazwał w radiu niemieckim zdrajcą kraju i który traktowany był jako zbrodniarz i „Untermensch". Wykorzystałem w roku 1938 okazję, ażeby jednemu z nich, prof. Fredrikowi Stangowi, wyrazić niewypowiedzianą wdzięczność, z jaką cała niemiecka, duchowo ruchliwa emigracja powitała tę odważną decyzję.

Wydarzenie to nie mogło, niestety, wyzwolić biednego Ossietzkiego z rąk jego dręczycieli, musiał on swoje przekonania okupić chorobą i śmiercią; nas jednak umocniło ono w walce o pokój, wolność i prawa człowieka, jako jedno z niewielu pocieszających, ba przykładowych dzieł w tym tak dla nas obfitującym w rozczarowania czasie.

W. A. BERENDSOHN.

(Z „Die humanische Front" — Europa-Verlag Zurych 1946 — przełożył *A. W.*)

LION FEUCHTWANGER

Wierny Piotr

RYS. JANINA CUGOWSKA.

Marszałek był bardzo stary, książki do czytania pełne były jego sławy, tysiące ulic i placów i niektóre miasta nosiły jego imię — był postacią historyczną. Obecnie, od lat ośmiu, żył w ciszy swej posiadłości wiejskiej, obojętny na swary codziennej polityki.

Ale oto ojczyzna popadła w najwyższe niebezpieczeństwo i wśród młodszych, sześćdziesięcio- i siedemdziesięcioletnich, nie znalazł się nikt, czyj autorytet okazałby się dostatecznie silny do wyratowania ojczyzny z anarchii i upadku. Zwrócono się więc do marszałka i zaklinano go, aby ujął ster w swoją wypróbowaną, kościstą starczą rękę.

Ojczyzna stała przed marszałkiem w postaci trzech panów i wyjaśniała, że jest świadoma wielkości ofiary żądanej od marszałka. Ale żąda tej ofiary, gdyż zginie, jeśli marszałek jej nie podejmie.

Prastarzec stał oto — żywy pomnik. Jego żądze osłabły. Nie było nikogo więcej, kogo kochał, tym mniej takich, których nienawidził i żadnego, kim by nie pogardzał. Dla większości przyjaciół swego życia nie istniał. Ale drżało jeszcze w nim słodkie uczucie siły z okresu, kiedy po raz ostatni dzierżył panowanie w swym ręku — było to przed ośmiu laty. Czuło się silniejszym, młodszym, żywszym wiedząc, że swoim podpisem decyduje się o losach setek tysięcy. Wewnętrznie więc był marszałek zdecydowany pójść za wezwaniem ojczyzny. Na dworze czekali dziennikarze; jego posiadłość wiejska leżała na ustroniu, obsługa telefoniczna tej małej miejscowości była wzmocniona.

Marszałek wiedział, że świat wstrzymał oddech, by usłyszeć jego decyzję. Ale od chwili, gdy przed pięćdziesięcioma trzema latami uczynił pewien nierozważny krok, przyjął sobie za żelazne przykazanie nie udzielać w żadnych okolicznościach natychmiastowej odpowiedzi. Swoim chropawym głosem wyjaśnił ojczyźnie: „Żądacie wiele ode mnie. Odpowiedź dam wam jutro."

Cokolwiek by się nie wydarzyło, marszałek zwykł był o dziesiątej wieczorem kłaść się do łóżka. Tak czynił od ćwierćwiecza; jedynie w czasie wojny dziewięć razy odstąpił od tej reguły.

Kamerdyner Piotr rozbierał go i pomagał przy wkładaniu nocnej koszuli. I mówił: „Więc jutro na śniadanie podam Ekscelencji dwa jajka."

„Myślisz naprawdę, Piotrze" — powiedział marszałek — „że powinniśmy przeprowadzić się znowu do pałacu?" „Historia oczekuje tego od Waszej Ekscelencji" — odpowiedział Piotr poprawiając poduszki — „a kiedy poraz ostatni przeprowadziliśmy się do pałacu, wyszło to Waszej Ekscelencji na dobre."

„Długie stanie przy przyjmowaniu", medytował marszałek, „zaczyna mnie męczyć. Przed trzema tygodniami, po przyjęciu owych trzech panów z Legionu, musiałem skrócić moje spacery." Piotr odpowiedział: „Ja przyjmowałbym najwyżej dwa razy w miesiącu i nie dłużej niż kwadrans. Przemawianie w radio jest mniej wyczerpujące i wypada najlepiej. Gdy Ekscelencja przemawiała w Dzień Czterechsetlecia, wszyscy byli wstrząśnięci, także w krajach, gdzie tego nie rozumiano."

Piotr włożył zęby marszałka w specjalny płyn do czyszczenia i zapchał mu watą uszy. Ułożył jak należy notatnik, na którym marszałek każdego ranka, tuż po przebudzeniu się, zwykł był notować myśli zrodzone nocą.

Marszałek tymczasem położył się na prawym boku. „Myślisz rzeczywiście" — spytał, gdy Piotr zawijał mu stopy, „że oni nie dokonają tego beze mnie?" „Nie dokonają, Ekscelencjo", odpowiedział Piotr. Marszałek westchnął i podciągnął nogi jeszcze odrobinę wyżej, przypominając swoim położeniem dziecko leżące w podołku matczynym. „No tak", powiedział, „więc podasz mi rano dwa jajka."

Piotr był młodszy o piętnaście lat od marszałka. Od owych czasów, gdy marszałek był kapitanem, współprzeżywał jego wznoszenie się jako posługacz i kamerdyner. Marszałek już od dawna nie był w ogóle żyjącym człowiekiem, był posągiem, posągiem jeźdźca; Piotr był koniem.

Po Bogu najlepiej znał marszałka Piotr. On wiedział, jak rodzi się uczucie autorytetu, czyniące marszałka postacią historyczną, którą był. Autorytet został wytworzony przez kamienną twardość wielkiego oblicza i przez pański spokój, z którym marszałek wypowiadał swoje skąpe słowa. Słowa marszałka były jak ze spiżu. Nigdy w nikim nie mogła powstać myśl, że marszałek błądzi. Było niepodobieństwem postawić mu jakikolwiek zarzut.

Na drodze marszałka stały niezliczone ilości ludzi, w jego sercu ciągle tylko jeden: on sam. Piotr znał to złe serce marszałka. Piotr wiedział, że w pewnych sytuacjach nawet największy przyjaciel człowieka nie umiałby, będąc na miejscu marszałka, wstrzymać się przed wysłaniem setek tysięcy na śmierć. Ale u dobrego człowieka odbyło by się to kosztem walki: marszałka nie kosztowało to nic. Setki tysięcy ludzi nie interesowały go. Spokój, z jakim wysyłał ich na śmierć, nie był wywalczony. Szło źle, marszałek wzruszał ramionami; szło dobrze, był jedynym, przyjmującym wdzięczność ojczyzny. Szedł o dziesiątej wieczorem do łóżka i spał spokojnie. Piotr widział to niejednokrotnie.

Marszałek nigdy nie był bystrym myślicielem. Na akademii

wojennej nauczono go, iż w wypadkach wątpliwych lepiej czynić źle, niż nie czynić nic zgoła. Według tego działał. Był fatalistą. Jego funkcję stanowiła wydawanie decyzji. Jakie te decyzje miały następstwa, nie było jego rzeczą.

Działo się to zapewne z woli tej ogromnej, fatalistycznej dumy, że decyzje, które miał powziąć, omawiał z Piotrem, decyzje od których zależał los kraju i świata. Marszałek i Piotr pochodzili z tej samej chłopskiej prowincji.

Przodkowie marszałka byli tam od stuleci panami, przodkowie Piotra — parobkami. Piotr był kawałkiem owej ziemi. Gdy marszałek rozmawiał z Piotrem, rozmawiał z samym sobą.

Istota Piotra i marszałka i ich poglądy były bardzo różne. Piotr uważał za słuszne w wypadkach wątpliwych nie czynić nic, miast

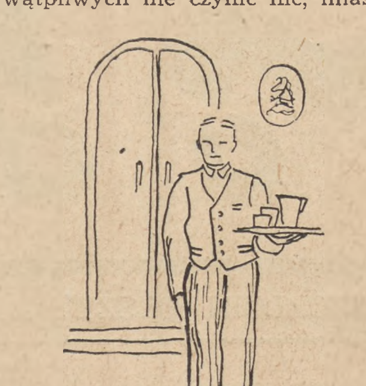

czynić źle. Piotr kochał swój kraj, Piotrowi setki tysięcy wysyłane na śmierć nie były obojętne. Piotr nie był fatalistą. Wierzył, że mądrością można zmniejszyć zło i powiększyć dobro. Marszałek był postacią historyczną, Piotr był człowiekiem i mądrym patriotą. Marszałek miał władzę, Piotr rozum. Naturalnie obawiał się Piotr objawić marszałkowi swoje buntownicze myśli. Udawał prostaczka. Rzeczy przez niego wypowiadane były prostą mądrością ludu. Cytował przysłowia, opowiadał historie z kalendarza, anegdoty o swoim ojcu, swoim dziadku, chytrze rachując, aby decyzje marszałka, któremu kraj był obojętny, szły po myśli Piotra, któremu kraj obojętny nie był. Ojciec i dziadek Piotra stawali się powoli figurami, przepojonymi mądrością ludu, reprezentantami narodu, legendarnymi postaciami, patriarchami. Przez nich opanował Piotr marszałka i jego kraj. Myśli, które marszałek po obudzeniu się notował zwykle w swoim notatniku, czerpane były z mądrości owego ojca i dziadka, były ideami Piotra. Gdy stary marszałek stanął za sterem, kraj jego wydany był prawie całkowicie na łup najgorszych niebezpieczeństw. Jego obywateli pozbawiono nawet najniezbędniejszych rzeczy i pogrążono w nędzy. Zdumiewające, z jakim talentem marszałek, prowadzony przez ojca i dziadka Piotra, sterował swoim krajem w pierwszych tygodniach i miesiącach rządzenia.

Nawet przeciwników jego polityki udało mu się na pewien czas przekonać, że oto na czele stoi człowiek, odczuwający całą nędzę ojczyzny i równocześnie nie tracący głowy. Marszałek miał stalowe nerwy, nędzę kraju i surowe rządy znosił wspaniale, rozbierał się o dziesiątej i spał dobrze. Mniej dobrze spał Piotr. Trawił go jego urząd, decyzje, które pałac musiał podejmować, zżerały jego serce, będąc o piętnaście lat młodszym od marszałka był jednakże i on człowiekiem starym.

Po przemieszkaniu tylko krótkiego czasu w pałacu, pewnego ranka nie zjawił się więcej w sypialni marszałka ze śniadaniem, lecz połączył się ze swoim ojcem i dziadkiem.

Marszałek doznał niejakiego zadośćuczynienia. Taki Piotr nie czynił w ciągu swego życia nic, prócz kilku drobnych posług. Natomiast na nim, na marszałku, ciążyła bieda całego kraju. I oto stał on piętnaście lat starszy, przeżywszy swego kamerdynera.

To uczucie triumfu nie trwało zbyt długo. Nowy kamerdyner Franciszek wypełniał swoje powinności z najwyższą sumiennością. Opiekował się prastarcem troskliwie i łagodnie, jak gdyby to chude ciało było relikwią; mimo to usługi tego nowego wydawały się marszałkowi niezgrabne i pomrukiwał niezadowolony. Piotr odszedł od niego. Był wprawdzie prostakiem, ale biła z niego stara mądrość ludu i najwyższej głowie państwa dawała ona mądrość podniety. Marszałek nie mógł się do tego nowego imienia przyzwyczaić; mówił do niego często Piotr zamiast Franciszek, ale Franciszek nie był Piotrem i marszałek postanowił, aby ten nowy nie dotykał notatnika przeznaczonego do notowania myśli zrodzonych nocą.

Marszałek przywykł, że szczęście i nieszczęście zmieniały się jak fale. Ta zmiana nie poruszała go głęboko, ale on przyjmował ją prawdziwie. Ze śmiercią Piotra nastały mniej szczęśliwe czasy. Decyzje marszałka nie odzwierciadlały z tą samą pewnością co dawniej woli narodu.

Mnożyły się opory, echo jego przemówień radiowych było mniej silne, kadzidło nie wzbierało gęstą chmurą.

Jednego wieczoru po ułożeniu się do łóżka i po odejściu Franciszka, mruczał marszałek do siebie, jak zwykle, swoimi bezzębnymi ustami. „Co myślisz, Piotrze?" spytał, jak czynił to już tysiące razy. A Piotr: „Przyszedł raz do mojego dziadka", i opowiadał jedną ze swych historii. Zdumiał się marszałek, że Piotr stanął naraz w swojej wyprostowanej i skromnej postawie obok łóżka i opowiadał jakąś historię, choć już przecie nie żył. Ale nic za bardzo się zdumiał. Zdarzało się niejednokrotnie, że rozmawiał z ludźmi, którzy właściwie pomarli. W istocie było to oczywiste, że Piotr obsługiwał go dalej, skoro marszałek okazał mu łaskawość przyjmowania przez tyle dziesiątków lat jego posług; wierność jest marką godności, a cóż byłaby to za wierność, gdyby nie trwała i po śmierci?

Odtąd rozmawiał znowu marszałek każdego wieczoru z Piotrem. Z cichą niecierpliwością oczekiwał, aby Franciszek się oddalił i Piotr stanął na jego miejscu. Gdy Franciszek odszedł, wtedy zjawiał się Piotr istotnie i opowiadał mądre i proste anegdoty o swoim ojcu i dziadku a drugiego dnia rano zapisywał marszałek w notatniku swoimi niezgrabnymi, wielkimi literami jego idee.

Nadszedł dzień, kiedy złe postacie uznały marszałka za niedostatecznie uległego i giętkiego. Zażądały, ażeby swoim kanclerzem uczynił człowieka, który był całkowitym narzędziem w ich ręku. Marszałek naradzał się z nielicznymi, przywołanymi do siebie. Nikt nie ważył się wypowiedzieć jasno swego zdania. Mimo iż marszałek nie był bystrym myślicielem, pojął, że oczekuje się od niego ustąpienia.

Tak będzie, dawano mu do zrozumienia, mądrzej i godniej, niż gdyby został na czele państwa i sankcjonował w ten sposób haniebne postępowanie narzuconego mu kanclerza.

Marszałek słuchał niechętnie tych ostrożnie przedstawionych poglądów. Nie leżało to w jego planach przeżyć ze sługą Franciszkiem na wsi pozostały mu jeszcze czas. Nie miał już wielu lat przed sobą i wydawały mu się one puste bez słodkiego uczucia władzy. Przyjął niechętnie tego, którego mu złe postacie narzucić chciały, ale nie miał także ochoty wycofać się do swojej wiejskiej posiadłości.

Tego wieczoru oczekiwał marszałek ze szczególną niecierpliwością oddalenia się Franciszka. Wreszcie gdy ten ociężały sługa był za drzwiami, zjawił się już i Piotr. „Co myślisz, Piotrze?" spytał marszałek, „czy powinienem przyjąć tego człowieka? To bardzo podłe ziele."

Piotr opowiedział anegdotę o swoim dziadku. Była w niej mowa o domu i o złym psie. Nie mogło się mieć domu bez złego psa. Koniec był niejasny, wydawało się, że dziadek wyrzekł się raczej domu. Ale ponieważ marszałek nie chciał tego słyszeć, zniecierpliwiony zapytał: „Cóż on uczynił? Mówże wyraźnie. Mruczysz, że się ciebie w ogóle nie rozumie. Tyś już naprawdę stary".

Ale Piotr mruczał dalej i marszałek postanowił zrozumieć anegdotę w ten sposób, że dziadek wziął dom pomimo złego psa. Przyjął więc człowieka, to podłe ziele i został na urzędzie. Kraj był wzburzony. Wieczorem Piotr nie przyszedł. Marszałek mruczał coś pod nosem o niewdzięczności i niepewności narodu.

Gdy następnego ranka chwycił za notatnik, by jak zwykle coś zanotować, kartka była całkowicie zapisana. Odwrócił ją i pozostała mu już kartka ostatnia. Ale i ta była zapisana. Zapisała ją obca ręka, ręka Piotra. „Co za krzyż z tym złym, starym osłem", głosiło pismo.

Marszałek przeraził się. Wydało mu się naturalne, że zmarły

Piotr z nim rozmawiał; ale że zmarły pisał, dotknęło go ciężko. „Teraz wierzy sobie", pomyślał pełen goryczy, „teraz, kiedy nie żyje, wierzy sobie, tchórz."

Pismo na notatniku weszło mu w kości.

Później powiedział sobie, że wszystko jest naturalne i jasne. Piotr jeszcze za życia użył swojej bezczelnej niewolniczej duszy, ot i wszystko. Liczył chłop na to, że we właściwym czasie będzie mógł tę kartkę usunąć. Ale to mu się nie udało. On, marszałek, żył dostatecznie długo, by niewiernego przychwycić.

Słaba to wszakże była pociecha. Czego nie mogły dokonać wydarzenia, które każdemu innemu rozgniotły by serce, tego dokonało krótkie westchnienie Piotra z mogiły. Pewność starego została złamana i wraz z nią jego siła życia.

Pozostał na urzędzie, lecz pozwolił przysłonić się zewnętrznie i wewnętrznie człowiekowi, którego musiał przyjąć, owemu podłemu zielu.

Siedział w pałacu skurczony jak cień i cały świat pojął, że historyczna postać była mundurem obwieszonym orderami i niczym więcej.

Z niemieckiego spolszczył
Jan Koprowski

Po obu stronach Odry i Nysy

(Dokończenie ze strony 1)

sowa aż do ostatecznego zawarcia pokoju. Jednakowoż na skutek zaistnienia takiego faktu, że mocarstwa zachodnie zgodziły się w obszernym układzie na przesiedlenie i wysiedlenie Niemców z polskich terenów i współdziałały w tej czynności, wytworzono stan ostateczny, który na przyszłej konferencji pokojowej będzie tylko jeszcze musiał być potwierdzony.

Minister spraw zagranicznych Mołotow, już w oświadczeniu swym z 16 września 1946 wskazał szczególnie na to, że uchwały Konferencji Poczdamskiej w żadnym wypadku nie pozostały na papierze. Zarząd całego obszaru na wschód od linii Odry i Nysy spoczywa teraz już od kilku lat w rękach rządu polskiego. W dalszym ciągu w związku z wysiedleniem obywateli niemieckich sprawa została nazwana po imieniu: „Wysiedlenie nie byłoby musiało nastąpić, gdyby nie było ostateczne."

Z przytoczonych faktów wynika, jakie znaczenie przypisywały rządy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego decyzji w sprawie zachodnich granic Polski, i że bynajmniej nie myślały one decyzji tej poddawać w przyszłości rewizji. Realność rozwiniętych na tej podstawie polskich obszarów gospodarczych aż do linii Odra — Nysa nie ulega już więcej wątpliwości.

Jeżeli dzisiaj, właśnie na Targach Poznańskich, alianci reprezentowani są w sposób godny uwagi jako wystawiający, dowodzi to także, że uznają oni w pełni realność tych teraz nowo rozwiniętych stosunków po tamtej stronie linii Odra — Nysa. Kto zatem wzorowe stoiska Anglików i Amerykanów ogląda tylko pod kątem widzenia pielęgnacji stosunków handlowych z Polską, ten widzi tylko jedną stronę medalu. Druga strona, o wiele dla nas bardziej godna uwagi, ma aspekt polityczny. Często w ostatnim czasie i w ostrym języku wyrażane wypowiedzi pojedynczych zachodnich polityków i militarystów, skierowane przeciwko nowej Polsce i propagujące rewizję w chwili obecnej już ustalonej linii Odra — Nysa kolidują z faktem jej praktycznego uznania np. przez uczestnictwo w Targach Poznańskich. Nie należało zatem przeoczyć faktu, że tutaj uderza się w nazbyt znany nam z okresu panowania nazizmu ton wypowiedzi. Wychodzą one z ust tych amerykańskich przedstawicieli, którzy z całym naciskiem popierają dzisiaj antysowiecką i antypolską propagandę, ponieważ nie udało im się wczoraj przeforsować reakcyjnego, dziś już wysłużonego polskiego rządu Mikołajczyka, którego stabilizację wówczas jeszcze mieli nadzieję przeprowadzić. W nagonce, która z tej strony właśnie także na linię Odry i Nysy jest przeprowadzana, w szczwaniu, które linię Odry i Nysy świadomie określa jako całkiem nieokreślony stan, są ostatecznie reprezentowane nie niemieckie interesy pokojowe, ale wyraźnie amerykańskie interesy wojenne i gospodarczo-polityczne. Tak, można bez przesady powiedzieć, że to, co pewne amerykańskie i angielskie koła próbują w małym stopniu swoim „przyczółkiem mostowym Berlinem" stale jeszcze przeprowadzić, wedle ich życzenia miałoby być osiągnięte z pomocą jednego całego państwa, mianowicie Polski, jako potężnego przyczółka mostowego przeciw Związkowi Radzieckiemu. Nie ulega wątpliwości: Te zamysły rozbiły się raz na zawsze o postępową nową Polskę.

Z objęciem zarządu nad terenami na wschód od Odry i Nysy zaczął rząd polski natychmiast wciągać te okręgi w ogólny system gospodarczy. Zdaje się, że to już zostało w dużym zasięgu uwieńczone pomyślnymi wynikami. Jakkolwiek bardzo boli nas Niemców to, że tu i ówdzie natrafiamy raz po raz na nazwy dawnych miast niemieckich i okręgów gospodarczych, to jednak lepiej jest trzeźwo i bez resentymentów wychodzić tym nieodwracalnym faktom naprzeciw.

Musiałem właśnie w związku z tym wszystkim pomyśleć o Oświęcimiu i Majdanku — o faktach, które zbyt lekko u nas są zapominane. Kto w obliczu nowego państwowego i politycznego rozwoju Polski dzisiaj jeszcze zapada w niemiecki światopogląd sprzed roku 1945, temu niech będzie przypomniane, że rozbiory polskie sprzed 180 lat były pierwszymi aktami polityki imperialistycznej w Europie, przez co zburzone zostało ówczesne ustawodawstwo europejskie i przez co przygotowana została droga napoleońskiej polityce zaborczej jak też i zaborczym wojnom 19 stulecia.

Mnie się wydaje, że nadszedł najwyższy czas, ażebyśmy wreszcie bez zastrzeżeń jako cały naród przyklasnęli wspaniałomyślnemu oczyszczeniu stosunków między Niemcami i Polską i przez to podbudowali podstawę prawną dla nowego ogólnoeuropejskiego porządku.

W środku terenu wystawowego wznosi się pawilon wystawowy Związku Radzieckiego, widok nadzwyczajny, który pozwala poznać ogromną rozległość i wielkość naszego wschodniego sąsiada. Mimowoli nasuwa się tutaj myśl, że Związek Radziecki był tym, który już przed dziesiątkami lat, naprawił błędy rosyjskiej carskiej przeszłości przez uznanie i poparcie wolnej, niepodległej Polski, a nie upokarzał nieludzko i okrutnie, jak Hitler, polskiego narodu w jakiejś polskiej Generalnej Gubernii.

Nie tylko sama wystawa, ale także rozmowy z mężczyznami i kobietami spośród ludności utrwalały wrażenie, że wszystkie problemy nowego porządku społecznego po tej i po tamtej stronie linii Odra — Nysa rozwijają się w kierunku ustalenia prawdziwego pokoju i porozumienia między wszystkimi narodami. W ten sposób można się było bez trudu, nawet w niektórych kwestiach naszego politycznego i gospodarczego rozwoju, nadspodziewanie szybko porozumieć. W tym kryje się wielka przyszłość dla współpracy, a wtedy linia Odry i Nysy nie będzie oznaczała nic dzielącego, ale — jeśli nawet będzie wyrazem czysto regionalnej granicy — będzie czymś łączącym, ponieważ stanowi początek i utrwalenie nowego porządku. Europejska Komisja Gospodarcza UN w Genewie wskazała ostatnio na utopię, która przedstawia jako możliwą odbudowę Zachodu bez udziału Wschodu. Życie odpowiedziało tutaj realnie. Całkiem inaczej, a moment wspólnoty międzynarodowej, ujawniający się na targach, w restauracjach i na ulicy, pozwalał na rozpoznanie wskazującej prawdziwą przyszłość, jedynie możliwej międzynarodowej polityki pokojowej.

W tym sensie miał 1 maja, w którym to dniu po obu stronach Odry i Nysy miliony demonstrowały za pokojem i porozumieniem narodów, całkiem określone dla nas zadanie. Leży ono przede wszystkim w spotkaniu z naszym najbliższym sąsiadem. Nie wyczerpuje się ono w wyrażaniu uczuć, ale domaga się czynów. W związku z tym oczekujemy od III Kongresu Ludowego, którego delegatów wybierze w dniu 15 i 16 maja społeczeństwo, postanowień, które w nasilonym stopniu pozwolą rozpoznać bezwarunkowo pokojowy rozwój po obu stronach Odry i Nysy. Wtedy będzie rzeczą pewną, że także ten, kto dzisiaj w Polaku widzi tylko sąsiada, jutro znajdzie w nim przyjaciela.

Luitpold Steidle.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

O Gallu Anonimie

Nie znamy ani imienia ani nazwiska tego człowieka — dlatego nazywamy go Anonimem, szczęśliwą jednak możemy nazwać chwilę przybycia jego w granice państwa piastowskiego. Dzięki temu kronikarzowi Bolesław Krzywousty (1102—1138) otrzymał księgę opisującą jego panowanie, czego historia poskąpiła imiennikom jego — Bolesławowi I Chrobremu oraz Bolesławowi II Śmiałemu.

Dnia ani roku przybycia Anonima do Polski oznaczyć nie można. Wiemy tylko, że był przybyszem, obcokrajowcem i mnichem, gdyż zataiwszy imię na początku dzieła, rzucił mimochodem w uwagach wstępnych (do każdej z trzech ksiąg) pewne wiadomości, z których dowiadujemy się o kilku niezbitych faktach odnoszących się do jego osoby. Niektórzy uczeni przyjmują, że przed przyjazdem do Polski przebywał jakiś czas na Węgrzech na dworze króla węgierskiego Władysława Świętego, którego gościem był Bolesław Śmiały w roku 1097, po zabójstwie Stanisława, biskupa krakowskiego. Istotnie, opis spotkania obydwu wymienionych królów, następnie — szczegóły opowiedziane przez Anonima o Mieszku, synu Bolesława Śmiałego, i jego tragicznej śmierci w Polsce w roku 1089 mogłyby świadczyć, że Anonim opierał się na własnej, osobistej obserwacji.

Nie znana też jest narodowość Anonima. Toczą się spory o to, czy był Francuzem, czy Włochem. Jeśli Francuzem, to czy pochodził z północnej Francji — z Walonii lub Flandrii, czy też z południa Francji — z Prowancji, gdzie znajdował się klasztor św. Idziego. Z kultem tego świętego związane były okoliczności przyjścia na świat samego polskiego księcia, który jest bohaterem pracy Anonima.

Wyrażono też przypuszczenie, że Anonim — zwany dodatkowo Gallem (ze względu na ewentualne, hipotetyczne, niestwierdzone pochodzenie gallijskie, czyli francuskie), mnich prawdopodobnie zakonu benedyktyńskiego — znalazł oparcie u benedyktynów w klasztorze w Lubliniu nad Obrą w Wielkopolsce, stanowiącym jedenastowieczną fundację rodu Awdańców. Myśl ta wydaje się trafna i możliwa do przyjęcia dlatego, że Gall Anonim jest ściśle związany w czasie pisania swego dzieła (w latach 1111—1113) z wybitnymi przedstawicielami tego potężnego rodu: Michałem, kanclerzem Bolesława Krzywoustego, później biskupem poznańskim, i wspominanym też z wielkim uznaniem Skarbimirem, wojewodą księcia, także Awdańcem. Przyjęcie tej hipotezy wiązałoby pobyt Anonima z Lubiniem, następnie z Poznaniem, z dworem Krzywoustego przenoszącym się z miejsca na miejsce, ale przeważnie przebywającym w północnych częściach Polski.

Będąc wygnańcem i obcym przybyszem jak sam siebie nazywa — nie chcąc w Polsce darmo spożywać chleba, zagrzany też nadzieją, że przez napisanie kroniki dziejów władcy polskiego zasłuży sobie na nagrodę, a wracając „jakiś przecie owoc swej pracy odniesie od miejsca swych ślubów zakonnych", zabrał się do kreślenia opowieści mającej być pierwszym, najważniejszym dla naszych dziejów ówczesnych źródłem historycznym. Chociaż nie wymienił żadnej daty rocznej, ustalając nieraz czas przez przytoczenie świąt kalendarza kościelnego, uzgodniono czas powstania dzieła na lata 1111 do 1113. Zdaje się, że poważny sukces orężny i polityczny Bolesława z roku 1109, w czasie najazdu niemieckiego na Polskę, wpłynął na postanowienie Anonima. Zwycięski opór, sta-

Tymczasem cesarz z przysięgi powagą odebrał zakładników od miasta Głogowa, mieszkańców zgnębił. Taka stanęła umowa: Jeśli po dniach pięciu mieszczanie przez poselstwo w tym celu wysłane zdołają uzyskać zawarcie pokoju lub układu jakiegoś, to wówczas oddani będą im zakładnicy z powrotem i bez względu na to, czy odpowiedź dana pokój przyniesie, czyli też odmowę.

I taki układ stanął z podstępem wzajemnym, gdyż cesarz miasto zdobyć chociażby nikczemnym wiarołomstwem miał zamiar, a zaś Głogowianie dali swych zakładników, by czas uzyskali i obwarowanie miasta naprawiali, starością uszkodzone.

Zaś Bolesław książę, gdy o zakładników daniu wiadomość otrzymał, oburzeniem przejęty, wnet się z gniewu zżymał i groził, że ci z mieszczan, którzy by myśleli ze względu na zakładników o poddaniu miasta, ci zginą w strasznej męce, bo w ukrzyżowaniu.

„Bowiem — dodał — większy zaszczyt im przyniesie śmierć od miecza chwalebnie w obronie ojczyzny, mieszczan i zakładników chlubnie poniesiona niźli życie przez poddanie miasta kupione, życie nikczemne, marne i zhańbione, życie za cenę wolności oddane, w służbę narodu obcego sprzedane".

Kiedy odpowiedź ową uzyskali mieszczanie oni, wnet odpowiedzieli, iż Bolesław odmawia zawarcia pokoju i zakładników z powrotem żądali, jak było umówione.

Na co odrzekł im cesarz: „Jeśli mi poddacie gród mój, to zakładników wówczas odzyskacie, lecz jeżeli się woli mej przeciwstawicie, i wy, i zakładnicy utracicie życie!" Ks. III, 7.

A na to mu grodzianie odparli w te słowa: „Wiemy, żeś jest zdolny do wiarołomstwa i mordu zakładników, nie zyskasz jednak zadania swojego, miasta poddania."

Cesarz po tych słowach maszyny oblężnicze wnet kazał gotować, chwytać za broń, dzielić legiony, miasto obwarować.

Chorążym wnet rozkazał w trąby dąć rozgłośnie, miasto ścisnąć żelazem, płomieniami zdusić, oblężniczymi również maszynami rozbić.

Lecz mieszkańcy miasta wnet się po bramach i wieżach rozbiegli, przedmurze grodu wzmocnili, narzędzia do walki służące sposobili, kamienie oraz wodę do bram, wież nosili.

Cesarz sądził, iż wzruszy litością serca onych mieszczan i miłością synowską, rozkazał więc zakładników znamienitszych rodem i syna naszego komesa) grodowego do machin przytroczyć i wieźć ich na przedzie sądząc, że tym sposobem bez krwi rozlania zmusi ich do otwarcia bram miasta.*

Lecz mieszkańcy miasta nie oszczędzali bardziej synów swoich

Rozmowy z polskimi marynistami (XVIII)

Narodziny uniwersyteckiej katedry morskiej

W styczniu bieżącego roku utworzona została pierwsza w Polsce katedra uniwersytecka historii żeglugi. Jej utworzenie jest niewątpliwie, jak się okaże z dalszej rozmowy, śmiałym nowatorstwem, otwierającym wdzięczny teren badań dla naszych młodych historyków. Teren tym wdzięczniejszy, że dotyczy zagadnień mało, względnie nawet zupełnie dotąd przez naszą naukę nie poruszonych. Pierwszym zarodkiem tej katedry było utworzenie jeszcze podczas okupacji Instytutu Morskiego przy Tajnym Uniwersytecie Ziem Zachodnich, następnie trzyletnie wykłady „Dziejów żeglugi i polityki morskiej" na Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Sopocie. Nowo kreowana katedra ma jednak daleko szersze podstawy i obliczona jest na nauczanie i opracowanie naukowe pilnych i coraz wyraźniej w naszej nauce zarysowujących się problemów morskich.

Kierownictwo katedry powierzone zostało przez Ministerstwo Oświaty, wybitnemu uczonemu, prof. Władysławowi Kowalence, specjalizującemu się w zagadnieniach dziejów żeglugi, jak świadczą o tym jego dotychczasowe prace, m. in. „Zarys żeglugi i polityki morskiej" (cz. I — „Starożytność i średniowiecze". Cz. II — „Dania, Zakon, Polska od XIII do XVI w." — Gdynia 1946 i 1947 r.).

Dla zorientowania czytelników w tych zagadnieniach zwróciłem się do prof. Kowalenki, który udzielił mi ciekawych informacji.

— Czy badania nad historią żeglugi odnoszą się tylko do żeglugi handlowej, czy obejmują także problemy związane z rozwojem marynarki wojennej?

— Oczywiście, że jedne i drugie, mimo że są to w historii żeglugi dwa odrębne działy. W każdym okresie dziejów ludzkich statki handlowe i wojenne występują obok siebie jako siły współdziałające ze sobą. Pionierska rola nieraz przypadała statkom handlowym przed wojennymi przy zdobywaniu rynków zbytu lub kolonii. W czasach odkryć geograficznych statek wojenny wyprzedzał zjawienie się statku handlowego u wybrzeży azjatyckich lub amerykańskich. Różnica między ich przeznaczeniem była wielka, ale za to w zakresie budowy stosunkowo niewielka. Silniej zbudowany statek handlowy stawał się okrętem wojennym. Handlowe statki od wczesnego średniowiecza posługują się wyłącznie żaglem, gdy tymczasem okręty wojenne dłużej zachowują używanie wioseł — aż do końca XVI wieku, kiedy walne zwycięstwo przypadło żaglowcom angielskim, dobrze zaopatrzonym w artylerię, w porównaniu z ciężkimi galeonami hiszpańskimi w bitwie w Kanale La Manche. Od tego czasu marynarka handlowa i wojenna rozwijają się na odrębnych zasadach budowy, przeznaczenia i funkcjonowania. Nie wykluczało to jednak ich dalszego współdziałania. W wyprawach wojennych statek handlowy pełnił rolę pomocniczą, a przy tym niezbędną dla powodzenia operacji morskich. To wydzielenie się marynarki wojennej spowodowało inne jej traktowanie z punktu widzenia badań historycznych. Zacieśniono jej funkcje jedynie do obrony interesów państwa, co pozbawiło ją stałego funkcjonowania na liniach handlowych. W związku z tym pojęcie żeglugi skojarzyło się z czynnościami usługowo-gospodarczymi na oznaczonych liniach komunikacji morskiej. Z tego względu żeglugę handlową traktuje się jako jeden z działów gospodarki narodowej pod osobnym Ministerstwem Żeglugi.

Dzieje żeglugi pojmujemy więc w sensie historycznego rozwoju handlu morskiego, z całą jego złożoną aparaturą najściślej związaną z typologicznym przekształceniem się statku, tego głównego narzędzia pracy na morzu.

— Stan naszych badań nad dziejami żeglugi nie przedstawiał się u nas chyba nadzwyczajnie?

— Tak. Do niedawna były to sprawy niemal zupełnie zaniedbane. Stąd np. długo pokutował u nas pogląd, że w średniowieczu w ogóle nie było polskiej żeglugi handlowej. Jest to naprawdę smutne nieporozumienie, wynikające z braku badań dziejów żeglugi polskiej. Ten stan rzeczy ulega obecnie korzystnej zmianie, choć, rzecz jasna, nie wszyscy za nią mogą czy potrzebują nadążać.

Problematyka morska przed wojną budziła np. w poznańskim środowisku uniwersyteckim badawcze zainteresowanie, ale tylko z punktu widzenia historii i geografii. Natomiast specjalnych badań nad żeglugą polską i innych narodów — nie podejmowano. Zagadnienie to mogło się zjawić jako postulat naukowy w miarę postępu badań nad zagadnieniami historii gospodarki morskiej.

Inaczej jest ze sprawą dziejów marynarki wojennej. Wcześniej zwróciła ona na siebie uwagę historyków polskich. Przedstawiała bowiem temat efektowny, ostro zarysowany na Bałtyku na tle polskiej lądowości. Egzotyczność jego podniecała do badań.

— Kto z historyków pierwszy zwrócił uwagę na te problemy?

— *Tomasz Święcki,* który w swej pracy sprzed 130 laty pt. „Historyczna wiadomość o ziemi pomorskiej mieście Gdańsku oraz żegludze i panowaniu Polaków na Bałtyku" pisze o flocie polskiej. Dopiero po stu latach większe nawiązanie ku morzu mają „Dzieje wewnętrzne Polski" *Rakowskiego* z roku 1908. Pierwszą źródłową pracę o marynarce wojennej Polski dał *A. Czołowski.* Daleko szerzej ujął to zagadnienie współczesny badacz *St. Bodniak* w kilku wartościowych opracowaniach, a zwłaszcza w ostatniej swojej książce „Polska a Bałtyk za ostatniego Jagiellona", wydanej w roku 1946. Ujmuje ona na szerokim tle zadania dziejowe Polski na Bałtyku w okresie zmagań narodów środowiska bałtyckiego o stanowisku na morzu w XVI wieku. Autor omawia powstanie i charakter polskiego kaperstwa, ocenia ogólny wynik jego działalności za Zygmunta Augusta. Przedstawia też poglądy króla i jego otoczenia na problem bałtycki na tle współczesnych dążeń i potrzeb Rzeczypospolitej. Wartość prac tego autora polega na wykorzystaniu źródeł polskich i zagranicznych oraz na wnikliwych wywodach. Można uważać, że dzięki nim okres Zygmuntowski jest pod tym względem najlepiej zbadanym w porównaniu z innymi okresami.

Nowym wkładem w ten zakres badań jest książka *K. Lepszego* „Dzieje floty polskiej" wydana w roku 1947. Autor opiera się na szerokim fundamencie naukowym i przedstawia całokształt dziejów dawnej wojennej floty polskiej. Książka zawiera cały dotychczasowy dorobek naukowy z tego zakresu, wzbogacony dużym wkładem własnych archiwalnych poszukiwań autora.

Wymienione prace są zasadniczymi pozycjami w rozwoju studiów nad historią naszej marynarki wojennej.

Równocześnie z tym rozszerzały się granice zainteresowań polskich uczonych. Zaczęli oni obejmować swoimi pracami całokształt dziejów Bałtyku. Ten problem jako wielkie zadanie stoi obecnie przed nauką. Dotąd żaden z narodów od tysiącleci działających na Bałtyku nie dokonał tego rodzaju pracy. Pierwsze polskie próby w tym kierunku w ostatnich latach należą do *W. Konopczyńskiego, K. Górskiego i G. Labudy.* Ich prace naświetlają rolę i znaczenie Bałtyku w dziejach wielkiej rodziny narodów tego morza i przedstawiają pierwszą „próbę syntezy dziejów krajów nadbałtyckich".

Wymienione prace nie dotknęły, poza *R. Grodeckim* („Handlowe znaczenie Wisły", „Studia Historyczne II"), *St. Kutrzebą* („Handel Krakowa") sprawy polskiej żeglugi handlowej. Należy tu zaznaczyć, że nie można dziejów floty wojennej kaperskiej czy też regularnej nazwać historią żeglugi polskiej, gdyż byłoby to zbytnie zacieśnienie pojęciowe. Do dziejów żeglugi należy przede wszystkim rozległa dziedzina czynności usługowo-gospodarczych floty handlowej i portów od czasów średniowiecznych. Marynarka wojenna Rzeczypospolitej powstawała w doraźnej potrzebie wojennej i szybko po wojnie znikała. Natomiast polska żegluga handlowa istniała i powstawała w związku z nieustającą przez wieki ekspansją ku morzu krain Odry i Wisły. Jest ona starsza od polskiej marynarki wojennej i jest przy tym stałym narzędziem żeglugi miast polskich. Jej powstanie należy odnieść do czasów starosłowiańskich. Przetrwała ona przez całe średniowiecze i ożywiała polskie rzeki i Bałtyk z inicjatywy polskiego mieszczaństwa aż do końca XV wieku.

— Temu interesującemu zagadnieniu poświęcił Pan w ubiegłym roku pracę, zamieszczoną w „Rocznikach Historycznych".

— Myśli Pan zapewne o mojej pracy pt. *„Polska żegluga na Wiśle i Bałtyku w XIV i XV wieku".* Tak, to zagadnienie bardzo mnie interesuje. Istnieje ono już w XIII wieku i wyraża się w zatargach żeglugowych z zakonem krzyżackim, który zamykał polskim statkom wyjście na Bałtyk w Elblągu, a zagraniczne statki idące do Polski zatrzymywał w Chełmnie. Sąd rozjemczy uregulował sprawę na zasadzie swobodnej żeglugi na Wiśle i morzu dla obu stron (1263 rok). Inne fakty podobnej treści, orzeczenia sądowe i polsko-krzyżackie warunki pokojowe z lat 1422, 1424 i 1436 wymownie świadczą, że państwo polskie za Jagiełły prowadziło na Bałtyku nieustający handel z Zachodem w XIV i XV wieku na własnych statkach. Polska polityka morska miała wówczas jasno sprecyzowany cel na morzu. Statki polskie z wielkiego dorzecza Wisły z miejską, górniczą i rolniczo-leśną produkcją w znacznej ilości spływały na Bałtyk. Flota handlowa bezpośrednio docierała do Anglii i Flandrii, a kupiec polski na ich rynkach nie był rzadkim gościem. Przy ogólnej ocenie dzisiejszych wyników badań można zatem mówić, że już obecnie wyraźnie zarysował się w głównych liniach całokształt obrazu polskiej żeglugi tak handlowej jak i wojennej w średniowieczu i czasach nowożytnych. Dalsze badania powinny wyjaśnić głębiej i wszechstronniej podłoże gospodarcze i polityczne ciążenia Polski ku morzu, poznać techniczną i socjalną stronę polskiej żeglugi, budowę statków, działalność stoczni itp.

Te zagadnienia można opracować jedynie przez źródłowe badanie. Pod tym kątem widzenia Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego w Gdańsku przygotowuje materiały do wydania Kodeksu Morskiego, który udostępni korzystanie z bogatego zasobu źródeł archiwum gdańskiego.

— Czy dotychczas istniała na terenie wyższych uczelni jakaś katedra, poświęcona specjalnie zagadnieniu dziejów żeglugi polskiej?

— Nie. Po raz pierwszy wprowadzono ten przedmiot w Polsce do Instytutu Morskiego przy Tajnym Uniwersytecie Ziem Zachodnich w Warszawie w latach 1942—1944 pod nazwą „Dziejowy stosunek Polski do morza". Przedmiot ten przekształcił się w „Dzieje żeglugi i polityki morskiej", ze znacznym rozszerzeniem jego zakresu, na Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Sopocie, która powstała z Tajnego Instytutu Morskiego w roku 1945.

Kształtujący się przedmiot objął bogaty materiał dziejów żeglugi ludów starożytnych środowiska śródziemnomorskiego, tej kolebki żeglugi ludzkiej oraz ludów rejonu bałtyckiego z szerokim uwzględnieniem Polski na podłożu ich gospodarczych i socjalnych potrzeb w ciągu wieków.

W W. S. H. M. zapoczątkowano zatem badanie dziejów polskiej marynarki handlowej z czasów ostatniej wojny światowej w latach 1939—1945. W seminarium „Dziejów żeglugi" na W. S. H. M. starsi studenci opracowywali — na podstawie materiałów archiwum GAL'u — czynności poszczególnych statków aż do ich powrotu do Polski. Kierownikowi seminarium przyświecała myśl, by przy pomocy młodych sił pierwszej w Polsce wyższej uczelni morskiej wydać historię naszej marynarki handlowej i wojennej, które po raz pierwszy w dziejach narodu polskiego walczyły chlubnie na oceanach o wolność swojej ojczyzny. Studenci niejednokrotnie referowali postępy tych prac w ciągu roku akademickiego 1947/48 na posiedzeniach seminaryjnych. Na podstawie takiej pracy dyplomowej o „S/S Kraków" jedna ze słuchaczek zdała dyplom.

— Podobno jednak na W. S. H. M. zniesiono wykłady z „Dziejów żeglugi".

— Tak. Przyczyną była reorganizacja programowa tej szkoły. Dlatego w spisie wykładów na bieżący rok szkolny 1948/49 nie znajdujemy już tego przedmiotu. Zastąpiono go „Historią gospodarczą Polski ze szczególnym uwzględnieniem związków z morzem". Zdawać by się mogło, że historia żeglugi zniknie z programu wykładów w wyższym szkolnictwie, jeżeli przedmiot uznano za zbędny w morskiej uczelni, co prawda o nastawieniu praktycznym, że nawrócimy do zaniedbań w tej sprawie z czasów przedwojennych. Zwyciężyło jednak zaawansowanie tego przedmiotu na najwyższy szczebel nauczania. Wprowadzono go w mury uniwersyteckie. Ministerstwo Oświaty utworzyło osobną katedrę „Historii żeglugi i polityki morskiej" na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego.

— Jakim zadaniom poświęcona jest katedra?

— Ma ona na celu badanie rozwoju żeglugi we wszystkich czasach i u wszystkich narodów. Katedra ta — *pierwsza tego rodzaju w Polsce* — jest dowodem zrozumienia potrzeb naukowych problematyki morskiej. Znaczna dotacja dla tej katedry, przyznana przez Komitet Odbudowy Nauki przy Prezydium Rady Ministrów oraz przekazanie pomocy naukowych z W. S. H. M. w Sopocie do naszego zakładu stwarzają podstawę dla rozwoju tego działu nauki. Katedra zaczęła funkcjonować od 1 stycznia 1949 roku i stanowić może bazę dla przyszłego Instytutu Morskiego dziejów żeglugi, współdziałającego z innymi katedrami, nawiązującymi w swoich badaniach do spraw morskich.

— Jakie konkretne zagadnienia są w tej chwili na „warsztacie" pracy naukowej?

— Opracowujemy w tej chwili działalność Słowian Zachodnich na Bałtyku, rozmieszczenia ich portów na wielkim odcinku wybrzeża od Chylonii, dzisiejszego Kilu, aż po Elbląg w okresie VIII—XIII wieku, gdzie stwierdzono istnienie przeszło 60 grodów portowych, jako głównych ośrodków handlu morskiego Słowian i ich produkcji rzemieślniczej.

Nie można sobie przedstawić dalszej pracy na tym odcinku bez osobnego naukowego czasopisma morskiego, na które Wydział Nauki Ministerstwa Oświaty, jak nam wiadomo, nie odmówi odpowiedniej dotacji.

Obok tego poważnym zadaniem dla katedry jest przygotowanie dydaktyczne i naukowe młodych historyków do badań morskich problemów. Dla tego też celu służą głównie ćwiczenia seminaryjne, czytanie dokumentów historycznych treści morskiej, dotyczące różnych zjawisk: najstarszych morskich taryf celnych, prawa o rozbitkach morskich, postanowień sądów rozjemczych przy zatargach żeglugowych, budowania portów lub ich utrzymanie i obrony. Na tle takiej pracy będą się zmieniać tematy prac magisterskich i doktorskich, co przyniesie pogłębienie wiedzy o morskiej gospodarce i przysporzy nowych badaczy z tego odcinka wiedzy.

W tym kierunku nastawiają się młodzi naukowcy z seminarium profesora K. Tymienieckiego. Widać to z ostatniego numeru Roczników Historycznych. Umieszczone w nim prace o Gdańsku, Szczecinie i Pomorzu są odznaczone nagrodami Akademii Umiejętności. Inne o Kołobrzegu i Wolinie są w przygotowaniu.

Studenci seminarium żeglugi wykazują zainteresowanie dla polityki morskiej Świętopełka II, rozwoju miast morskich we Włoszech i Flandrii, powstania polskiej floty handlowej oraz działalności stoczni gdańskiej, która budowała statki morskie polskich żeglarzy i kupców.

Po ukończeniu Uniwersytetu studenci — jako nauczyciele — zaniosą zdobytą wiedzę o dziejach morskich do szkół publicznych. Wpłynie to, niewątpliwie, korzystnie na zmianę istniejącego niedorozwoju zagadnień morskich w szkołach. Polega on na tym, że autorzy podręczników nie doceniają wartości tematyki morskiej dla młodego pokolenia, sami jej nie znają i nie stoją na poziomie najnowszych osiągnięć w tej dziedzinie. Ten stan rzeczy wymaga naprawy.

Kursy wakacyjne, uzupełniające wykształcenie nauczycieli, powinny ten brak mieć na względzie przy opracowaniu programu i doborze prelegentów.

— A jak się przedstawia sprawa podręczników, względnie zasadniczych dzieł z dziejów żeglugi?

— Jest to bardzo trudne i naprawdę „bolące" zagadnienie. Jak wiadomo, odpowiednia literatura fachowa i biblioteka to sprawy bardzo ważne w dydaktycznym przygotowaniu nauczycieli. Tymczasem rynek francuski jest wyczerpany i nie daje gwarancji wykonania zamówień. Niemcy nie wydają nic, a najnowszy katalog angielski nic poważniejszego nie przynosi. Nawiązanie kontaktu z radzieckimi instytucjami jest w toku.

Taka sytuacja stwarza wiele trudności w pościgu za książką. Niektóre zagadnienia nie mogą być wyjaśnione. Naukowa literatura dziejów żeglugi Zachodniej Europy jest dość bogata, ale dostęp do niej nie jest łatwy w warunkach powojennych.

Okresowi średniowiecznemu i nowożytnemu poświęcono dużo specjalnych prac we wszystkich językach europejskich. *Na razie brakuje na tym polu dorobku polskiego.* W przyszłym roku zapewne ukaże się praca polska z tego działu, jako pierwsza część dziejów żeglugi Europy.

Oprócz tego przed nauką polską stoi trudne zadanie — poddanie rewizji dziejów morskich Hanzy, która po Słowianach odziedziczyła ich kilkuwiekowy dorobek na morzu i na nim zbudowała swoją potęgę. Nikt dotąd nie napisał po polsku dziejów Hanzy. Wyniki badań nauki niemieckiej z tego zakresu należy skorygować i uzupełnić, gdyż ona przemilczała wiele. Na to trzeba kilku lat badań i dobrze zorganizowanych i uposażonych zespołów naukowych.

Początek pracy jest trudny, ale powoli zwiększa się biblioteka zakładowa i liczba plansz, przedstawiających typologiczny rozwój statków poszczególnych okresów historycznych. Równocześnie modele statków, jak np. „Santa Maria" Kolumba oraz „Arc Royal" uzupełniają pomoce naukowe organizującego się Zakładu. Niezbędne dla wykładów mapy i plany portów wykonują na zamówienie Zakładu kreślarze fachowi, zanim wielkie zakłady graficzne zorganizują swoją produkcję i przystosują ją do potrzeb naukowych w tej dziedzinie. Należy wyrazić uznanie za pionierskie i bardzo trudne prace tym, którzy wprost chałupniczym sposobem wykonują dobrze tak odpowiedzialną pracę i umożliwiają przez to posługiwanie się pomocami naukowymi.

— Czy na wykłady uczęszcza dużo studentów?

— Na razie jeszcze niedużo. Na studiach humanistycznych historia żeglugi nie jest obowiązującym przedmiotem — nawet dla historyków. Nie obowiązuje z niego żaden egzamin. Jest przedmiotem fakultatywnym, *rozpoczętym dopiero od drugiego trymestru bieżącego roku,* kiedy studenci już rozplanowali swoje zajęcia na cały rok. Nie chodzi więc w tej chwili o ilość studentów. Ci napłyną wkrótce. Ważnym natomiast jest stworzenie pierwszego w Polsce ośrodka, który będzie systematycznie uzupełniał dotychczasowe luki w naszej naukowej problematyce morskiej.

Rozmowę przeprowadził STANISŁAW TELEGA

i jego dziele

wiony wówczas przez polskiego władcę i całe jego państwo, ów czyn, który bez wątpienia odbił się głośnym echem w Europie, włożył niejako Anonimowi pióro do ręki. Krzywousty wydał się Gallowi bohaterem godnym uwiecznienia.

Jako cudzoziemiec, nie mógł Anonim Gall nie opierać się na tradycji krajowej reprezentowanej najlepiej przez poważnych i czcigodnych dostojników kościelnych skupionych dokoła dworu i kancelarii władcy. Toteż wymienia ich w tytule każdej księgi, mówiąc o Marcinie, arcybiskupie gnieźnieńskim, Szymonie, biskupie płockim, Pawle, biskupie poznańskim, Maurze, biskupie krakowskim, i Żyrosławie, biskupie wrocławskim. Szczególnie mocno podkreślił pomoc, którą otrzymał ze strony Michała kanclerza książęcego, Awdańca — ze środowiska lubińskiego.

Udzielenie informacji ze strony przedstawicieli tradycji polskiej było konieczne dla początkowych dziejów kraju i rodziny dynastycznej Bolesława, gdyż Gall Anonim, umyśliwszy skreślić sylwetkę polskiego władcy, słusznie postanowił poprzedzić ją dziejami jego zasłużonych i sławnych przodków. Dzięki temu szczęśliwemu zamierzeniu obcego a życzliwego dziejopisarza zyskaliśmy w księdze pierwszej genealogię Piastów, historię najdzielniejszych latorośli tego niezwykłego domu królewskiego, który ze szczepu Polan, przez połączenie Ślęzan, Wiślan i Mazowszan, utworzył zwarty organizm ustrojowy, umiał stawić czoło nawet zjednoczonym siłom cesarstwa niemieckiego. Na kartach kroniki Gala Anonima pojawiły się postacie Bolesława Śmiałego, Kazimierza Odnowiciela, wspaniała wizja potęgi Chrobrego i Mieszka, inicjatora historycznych poczynań, a w dali czasów zamajaczyły mgliste rysy dziadów i pradziadów książęcych, o których współcześni mieli jedynie niewyraźne i skąpe wieści.

Ten obcy mnich o umyśle snadź żywym, ciekawym, interesował się początkami narodu, u którego znalazł schronienie, pierwszy z żyjących zapisał te opowieści i stał się odtąd po wsze czasy najważniejszym pisarzem, do którego sięgali wszyscy późniejsi kronikarze i historycy polscy. Wincenty Kadłubek, Jan Długosz, Kromer, Bielski nawiązywali do niego. Jakieś zdanie Galla Anonima, nazwa przez niego zanotowana wyrażenie niejasne, umyślnie ze względu na ówczesną opinię niedomówione, jak np. wzmianka o zabójstwie Stanisława biskupa — stawały się i stają nadal punktem wyjścia namiętnych dyskusji. Zażarte spory na temat, co Gall Anonim miał na myśli mówiąc o biskupie Stanisławie jako zdrajcy wobec Bolesława Śmiałego, podzieliły w początkach naszego wieku całe społeczeństwo na dwa przeciwne obozy: obrońców biskupa i obrońców króla. Dzieło napisane w latach 1111 — 1113 ma do dzisiaj swą magiczną siłę.

W dobie dzisiejszej, po rozgromieniu Niemców, wobec których Gall Anonim zajął postawę bardzo krytyczną, dzieło jego nabiera nowej aktualności. Z chwilą gdy granice Polski przesunęły się na zachód, gdy do naszego obszaru państwowego należą ziemie stanowiące trzon monarchii Bolesława Krzywoustego pomnożone o ten kraj, o który przez całe życie walczył, czyli o Pomorze Zachodnie, nadszedł znowu czas, by wziąć do ręki Galla Anonima i przeczytać pieśń pochwalną, panegiryk, napisany ku czci Bolesława Krzywoustego, konsekwentnego realizatora racjonalnej zachodniej polityki polskiej.

Stanisław Helsztyński

i krewnych niźli Węgrów albo Niemców, kamieniami i bronią zaraz ich zmuszali, aby od muru miasta odstępowali.

Kiedy cesarz widział, że owym sposobem oporu miasta nigdy nie pokona ani też od obrony zamiarów załoga nie odstąpi, siłami i bronią postanowił próbować tego, czego podstępem nie mógł dokonać.

Zatem ze wszech stron do miasta atak przypuścili i krzyk potężny zarazem roznieśli.

Niemcy gród atakują, bronią się Polacy, zewsząd machiny kamienie wielkie w powietrze rzucają, kusze dźwięk wydają, strzały oraz pociski w powietrzu latają, tarcze przedziurawione od mieczów pękają, pancerze uderzone gwałtownie pryskają, szyszaki idą w drzazgi, trupy padają pokotem.

Ranni ustąpili, lecz na ich miejsce zaraz przychodzili nowi wojownicy.

Niemcy ręcznie kusze nakręcali, a Polacy kusze z maszynami mieli, Niemcy szybko strzały wypuszczali, a Polacy pociski do strzał dodawali.

Niemcy z kamieniami proce zataczali, Polacy zaś kamieni młyńskich oraz pali silnie ostrzonych w on czas używali.

Gdy Niemcy pod desek osłoną pod mur chcieli podejść, Polacy z wrzącej wody łaźnię im sprawili, płonącymi głowniami ich zasypywali.

Niemcy groźne tarany pod mur podsuwali, nazwane baranami, Polacy zaś staczali na nich z góry koła zbrojne gwiazdami ze stali.

Niemcy po wzniesionych drabinach w górę wstępowali, Polacy ich żelaznymi hakami zaczepiali, a potem ich w powietrze zaraz wyrzucali. Ks. III, 8.

Bolesław tymczasem ani we dnie, ni w nocy spoczynku nie znając, gdy tylko zoczył Niemców za żywnością z obozu się wychylających, zaraz ich łapał lub do ucieczki zmuszał.

Często też w obozie samego cesarza postrach szerzył tu i ówdzie uganiając, na podpalaczy oraz łupieżców czyhając w zasadzkach licznych.

Takimi sposoby cesarz przez dni wiele zdobyć miasto usiłował, lecz nic innego w zysku nie otrzymał, tylko rycerzy swych wciąż trupy świeże.

Co dzień tam ginęli szlachetnie zrodzeni mężowie, którym wnętrza wypruwano i solami wonnymi ich nadziewano, do Bawarii owych słano albo też do Saksonii za haracz jedyny w Polsce zdobyty. Ks. III, 9.

Wolny przekład **Elżbiety Sadzewicz**

[1]) Później tacy naczelnicy grodów nosili tytuł kasztelanów: takiego kasztelana ma na myśli kronikarz (Grodecki).

Książka Ziem Odzyskanych

Kochański Witold, Poezja Mazur i Warmii. Antologia. Warszawa 1949. PZWS. Str. 143.

Mało jest równie zasłużonych wydawnictw, popularyzujących sprawy i dzieje Pomorza Mazowieckiego, co Biblioteka Ziem Odzyskanych Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych. Omal że każdy z małych tomików tego zbioru służy rzetelną, a rozmaitą informacją, omal że każdy odsłania czytelnikowi fakty nieznane. Gromadzenie coraz to nowych szczegółów do możliwie zupełnego kiedyś wizerunku Ziem Odzyskanych (w tym wypadku głównie Pomorza Mazowieckiego) z troską o podkreślenie w nim własnych i rodzimych cech popularyzowanych regionów — oto zasługa, tym poważniejsza, że wyjątkowa.

Nowa antologia poezji mazurskiej i warmińskiej Witolda Kochańskiego oznacza w dorobku BZO dalszy krok naprzód, dowód jeszcze głębszego, niż dotąd wniknięcia w niedostatek naszej wiedzy o Pomorzu Mazowieckim, wreszcie dalszy wkład realny w zaspokojenie własnych potrzeb odzyskanej północy. Niestety, sprawa ma również swą odwrotną stronę. Współpraca z BZO nie daje zbyt wielkiego pola do popisu ambitniejszym autorom i szerszej inicjatywie. Popularny charakter wydawnictwa, szczupłość wyznaczonych ram, konieczność możliwie wielostronnego ujęcia zagadnień, w tym wypadku zagadnień dziewiczych, nawet w zarysach nie upowszechnionych, wreszcie cel, jakby nie było, dydaktyczny biblioteki, ograniczają autora, który z drugiej strony nie znajdzie gdzie indziej — jak dotąd — analogicznej trybuny do wypowiedzi. Już sama metoda wykładu nastręcza na wstępie poważne kłopoty. Jak równolegle traktować — np. w tym właśnie wypadku — sprawy nie dość rozgraniczone w świadomości odbiorcy, a wymagające ścisłego rozróżnienia? Jak w niby szkolnej biblioteczce pogodzić cel popularyzatorski i szerzej zakrojony naukowo - informacyjny, skoro rola wydawnictwa nie kończy się czasem nawet na biurku specjalisty? Jak wreszcie uczynić zadość najdelikatniejszej potrzebie? BZO wypełnia dotkliwą lukę w zakresie pomocy repolonizacyjnych Pomorza Mazowieckiego i w przeważnej ilości wypadków stanowi jedyną łatwo dostępną podbudowę wiedzy o rodzimej polskości kraju. Jak jednolicie obiektywnie i paralelnie traktować sprawy, nie urażając zastarzałych i niebezpiecznych drażliwości regionalnych? Jak mimo woli nie zniechęcać, nie szkodzić?

Mówiąc o antologii W. Kochańskiego, nie wolno ani na chwilę spuszczać z oka rozlicznych trudności i przeszkód, jakie ze wszech stron osaczały autora dzieła, które w swoim rodzaju jest pierwsze na gruncie centralnej Polski. Wybrnął z kłopotów autor, dając historyczny rys zmagań o polskość, ilustrowany rodzimą twórczością poetycką Mazur i Warmii, krasząc obraz odmiennie dla każdego gatunku czytelnika uniwersalnej książeczki. Nieprzygotowanym usłał lekturę chronologicznym podziałem i różnorodnymi popularnymi szczegółami historycznymi, biograficznymi i literackimi, z których każdy prawie zasługuje na rozwinięcie; zorientowanemu dał kompedium lekko zarysowanych sylwetek pisarskich i sam wybór rzucony na tło stosunków ogólnych i regionalnych; odbiorcy miejscowemu udostępnioną nareszcie twórczość najwybitniejszych kompatriotów, jakkolwiek bez względu na lokalne antynomie. Przeważyła oczywiście potrzeba doraźna walorów praktycznych książki, szlachetnie użytkowe, zaspokajających widome bolączki i braki i o to trudno mieć do autora pretensję. Istotnie bowiem najważniejsze było, by Pomorze Mazowieckie otrzymało wreszcie konkrety do pracy społecznej i oświatowej, zadatek głębszego stosunku do warmińsko - mazurskiej żywej rzeczywistości. Czas było skończyć z fatalnym stanem, w którym nawet najuczciwiej ustosunkowany do polskości rodzimej Pomorza Mazowieckiego człowiek (nauczyciel, urzędnik, działacz społeczny, turysta, pisarz) miast świadectw i dowodów napotykał na nieznośny mit o zaginionym gdzieś dorobku duchowym polskiego Mazura czy Warmiaka, pokrywanym obecnie z musu patriotyczno - okolicznościową blagą, do której zdołano zwolna nawyknąć. Praktyczna też zasługa W. Kochańskiego jest chyba największą, tym donioślejsza, że widoczna w odniesieniu do wszystkich kategorii czytelników.

Nagromadził autor materiał z przestrzeni pięciu wieków, starannie, nie bez trudu, wydał przystępnie a poprawnie, w dostatecznym wyborze i oświetleniu na użytek dnia codziennego. Odtąd nie trzeba będzie w razie potrzeby poszukiwać za XVII i XVIII-wiecznymi utworami Molitora, Grodzkiego, czy Rostkowskiego, tak charakterystycznymi dla kultury duchowej luterańskich Mazur. Dostępne stały się polskie próbki poezji młodzieńczych (niemieckich) W. Kętrzyńskiego. Wygładzone ze świata „Swaty warmińskie" J. Liszewskiego doczekały fragmentarycznej na razie publikacji. Przede wszystkim zaś zebrana została nareszcie w jedną uchwytną całość rozpierzchła po rzadkich czasopismach lokalnych, kalendarzach i broszurkach nowsza poezja XIX i XX w., znana dziś przeważnie z wycinków i odpisów, nieuchwytna przez to i bałamutnie przeinaczana. Oznacza to pierwszy, ale jakże doniosły krok, mimo wszelkich kompromisów utylitarnych. Przypisy i indeks, publikacja unikatów ilustracyjnych mówią o tym dowodnie i wyraźnie.

Szczególnie wiele zawdzięcza W. Kochańskiemu poezja ludowa Warmii, znana dotąd szerzej z jedynej ulotnej właściwie antologii A. Steffena. O ile poeta mazurski M. Kajka zaprezentowany został na tle znanych ogólnie zainteresowanym „Pieśni mazurskich", wydanych jeszcze w roku 1927, o tyle piszący wierszem Warmiacy doczekali o wiele kompletniejszego i wszechstronniejszego wyboru. Zarówno A. Samulowski, jak M. Zientarówna-Malewska i ogółowi mniej znany A. Śliwa ukazani zostali w świetle dawnej i nowszej twórczości na tyle wyraziście, że ich osobowości, temperamenty pisarskie zarysowały się bez porównania ostrzej, niż to miało miejsce u A. Steffena. Poza tym i psychika zbiorowa, mentalność, obyczajowość, także i gwara warmińska (niestety, bliżej nie objaśniona), nastroje po wyzwoleniu, odbite w ich utworach, uczyniły tę partię książeczki szczególnie wypełnioną treścią, ożywczą i pouczającą. Troskliwość Kochańskiego a sugestywność ostatnich rozdziałów zdają się podkreślać jeszcze wybór pieśni ludowych oraz sylwety pomniejszych pisarzy warmińskich i mazurskich, wśród których postacie M. Lengowskiego (Warmiaka), T. Ruczyńskiego (Mazura) należały do niesłusznie zapoznanych, podobnie jak ciekawa, a tajemnicza postać warmińskiej niedawnej przeszłości, oryginał, trochę poeta, nie ostatni malarz A. Schnarbach.

Zapewne wiele dałoby się dodać do samej antologii, niejeden szczegół biograficzny dorzucić do tekstu objaśniającego, ale zarzuty te nie byłyby na miejscu w świetle tego, co uprzednio powiedziano. Dalsze edycje piśmiennictwa regionalnego Warmii i Mazur, ich krytyczne objaśnienie, zajęcie się udostępnieniem prozy Gizewiusza, Mrongowiusza, ks. Barczewskiego i in., na co uwagę zwrócił zresztą autor, to sprawa kontynuatorów, czy naśladowców W. Kochańskiego, względnie jego zainteresowań. Pole do popisu jest szerokie, a niespodzianki i rewelacje łatwiejsze do wyszperania, niż gdziekolwiek indziej. Poza tym doświadczenia i nauki, jakie wysnuć można z pierwszego krytyczniejszego wydania poezji warmińskiej i mazurskiej, zostały już w pewnej mierze opłacone.

Wydaje się, że jedyny zarzut, jaki można by zrobić Kochańskiemu, to tylko sprawa układu i podziału antologii. Pod tym względem żadna antologia nie będzie wolna od krytyki. Układ chronologiczny do w. XIX, ale tylko do tego czasu, nie nastręczał zrazu wątpliwości. Luterańskość literatury mazurskiej i jej specyficzny charakter, brak równoległego materiału z terenu Warmii, ułatwiały w tym względzie zadanie. Od połowy w. XIX sposób szeregowania i klasyfikacji materiału nie wytrzymał próby. Ze szkodą dla mniej zorientowanego i bacznego czytelnika z głębi kraju, a niewątpliwie z obrazą warmińskiego i mazurskiego, zatarł się w antologii, o wiele bardziej istotny dla wyrazistości pracy od czasowego, podział regionalny, pogłębiony jeszcze przez różnice religijne. Fakt ten łącznie z publikacją ściśle wyznaniowych, a antykatolickich i antyklerykalnych utworów luterańskich XVI w. może stanowić dla czytelnika miejscowego (warmińskiego) stałe odium. Ale to już tylko smutna konsekwencja fatalnego splotu sprzecznych założeń i względów, o których była mowa.

Inna fatalność zaciążyła nad samym autorem, książeczką i sprawą, której oboje mieli służyć. Antologia złożona została do druku z końcem r. 1946, ukazała się natomiast dopiero z początkiem 1949. Gdyby dostała się była do rąk czytelnika w r. 1947, ocena jej musiała by być bardziej entuzjastyczna zarówno z tej przyczyny, że wówczas byłaby zjawiskiem jeszcze bardziej doniosłym i równoległym do potrzeb, jak również wyjątkową zasługą obywatelską autora. Niestety, przetrzymano ją w tece z górą dwa lata, co przy objętości 143 str. nie da się tłumaczyć żadnymi względami technicznymi. Dlaczego się tak stało? Trudno zrozumieć. To tylko pewne, że wyrządzono tu dotkliwą krzywdę: człowiekowi, jego dziełu i publicznej sprawie.

STEFAN SULIMA

Encyklopedia „Odry"

Cieszyński rewolucjonista

W szeregu bojowników o wolność ludu w r. 1884 chlubną kartę — jeśli chodzi o Śląsk Cieszyński — zyskał sobie mało znany w literaturze, dotyczącej tego okresu, **dr Paweł Oszelda**, lekarz, pochodzący z Cieszyńskiego. Szybko rozwijające się wypadki w tym roku, oraz stłumienie ruchu i osadzenie w więzieniu wybitnych działaczy, wśród których znalazł się także Oszelda, spowodowały, iż nazwisko jego nie utrwaliło się wyraźniej na łamach prasy z tego czasu i przetrwało tylko w pamięci ludu, dla którego lepszej przyszłości Oszelda działał i cierpiał.

Oszelda pochodził z Nieborów, wsi w powiecie cieszyńskim (dziś na Zaolziu), gdzie urodził się 16 lutego 1823 r. pod chłopską strzechą. Do gimnazjum uczęszczał w Cieszynie, po czym udał się na studia medyczne do Wiednia. Kończył je akurat w r. 1848, kiedy cała Europa zadrżała w posadach, nie omijając oczywiście także i Wiednia, gdzie 15 marca wybuchła również rewolucja, usuwając znienawidzonego Metternicha. W szeregach rewolucjonistów tłumnie stanęła młodzież akademicka, a wśród niej i młody doktor medycyny Oszelda. Wspomnienia pamiętnych dni wiedeńskich utrwalił później Oszelda w swych precyzyjnych robótkach, wykonywanych w więzieniu szpilberskim. Pamiątkowe skrzynki, inkrustowane słomą, przeznaczone dla swych najbliższych, zdobi rysunkami rewolucyjnymi i powstańczymi, wśród których największą wymowę posiadać będzie ilustracja z podpisem „Pódźmy bracia a zróbmy niewoli koniec!" (Ilustracja ta reprodukowana była w „Odrze" 1948, nr 3). Jedną z więziennych skrzynek Oszeldy, ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Cieszynie, oglądać można było w dziale historycznym na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu.

Wróciwszy latem 1848 r. z Wiednia na Śląsk i przekonawszy się, że na wieś śląską nie dotarły jeszcze hasła rewolucji, rozbrzmiewające po całej Europie, a panowie po dawnemu poczynają sobie z poddanymi chłopami, rozpoczął Oszelda akcję nad uświadomieniem szerokich mas chłopskich. **„Milczeć wtenczas kiedy mówić trzeba, uznać należy obywatelowi za rzecz nieprzystojną"** — i dlatego jeździ od wsi do wsi i rozmawia „ze współziomkami o rzeczach politycznych i wypadkach zdarzających się w naszej ojczyźnie". Urządza wiece chłopskie i rzuca nowe hasła: **„Wolność i równość dla wszystkich! Wolnym jest nie tylko pan, ale i chłop, nie tylko Niemiec, ale i Polak!"**

Chłopi po wsiach w okolicach Cieszyna pod wpływem takich haseł, rzuconych przez młodego doktora, zaczynają się ruszać. Niszczą „barbory", na których wymierzano im razy, przepędzają znienawidzonych „sprawców", czyli naganiaczy pańskich i zaczynają, sobie urządzać polowania na zające, podobnie jak robili to dotychczas tylko panowie (Końska, Żywocice, Karwina). Powstają po wsiach gwardie narodowe, które mają być uzbrojone „na podobieństwo jeża": nikogo nie obrażać, nie zaczynać, ale podobnie jak jeż, w obliczu niebezpieczeństwa najeżyć się kolcami i nie pozwolić się ruszyć...

Na dzień 18 października 1848 r. zwołano do Cieszyna wiec ludowy Towarzystwa Demokratycznego, którego jednym z twórców był dr Oszelda. Celem T-wa Dem. było „zastępować prawa ludu, oświecać lud politycznie i prowadzić go na to stanowisko, co by lud sam sobą władał, sam poczuł, że w nim jest najwyższa władza, najwyższa moc". Na wiecu zjawiło się kilka tysięcy ludzi. Przemawiał Oszelda, Stalmach i inni, a wysunięte hasła tchnęły odwagą i nowością, o jakiej tu jeszcze nigdy nie słyszano. Najbardziej rewolucyjnym było przemówienie Oszeldy: mówił porywająco, wzywał do czynu, do pomocy walczącemu na barykadach Wiedniowi i wspomniał nawet o kosach! „Kosy" w przemówieniu Oszeldy zdziwiły nawet Stalmacha, nie przypuszczał bowiem — jak sam się przyznaje — by u ludu śląskiego, z którego sam przecież wyszedł, taka była pochopność... Kiedy reakcja opamiętała się i przyszła znowu do głosu, największe represje spotkały Oszeldę. Aresztowano go, skazano go pono nawet na karę śmierci, lecz w drodze łaski zamieniono mu tę karę na bezterminowe ciężkie więzienie. Odsiadywał je w najcięższych ówczesnych kazamatach austriackich, na „Spilbergu" (Grajgórze) w Bernie Morawskim. Przesiedział tam tylko cztery lata, lecz i to wystarczyło, by tego twardego chłopskiego syna zwalić z nóg. Wyszedł złamany i schorowany, a zamianowany (zapewne pod przymusem) lekarzem wojskowym, zmarł daleko od stron ojczystych, 26 czerwca 1864 r. w Oedenburgu — Sopronie na Węgrzech licząc lat zaledwie 41.

Paweł Oszelda, pierwszy bojownik o prawa polskiego ludu Cieszyńskiego, bohater cieszyńskiej „wiosny ludów" — należy obok Lompy, Stalmacha, Szafranka i innych do najwybitniejszych postaci z pamiętnego okresu „wiosny ludów". Niestety postać to zapomniana w literaturze o „wiośnie ludów" prawie zupełnie nieznana, choć o monografię jej pokusił się już przed laty pisarz ludowy z Cieszyńskiego **Jan Wantuła** z Ustronia, ogłaszając o Oszeldzie studium w „Zaraniu Śląskim" w r. 1935. Na szerszym tle wypadków cieszyńskiej „wiosny ludów" przedstawił Oszeldę **G. Halama** w niewydanej dotąd pracy „Śląsk Cieszyński w r. 1848".

Do regionalnej literatury cieszyńskiej wprowadził Oszeldę **Karol Berger-Nowicki**. W sztuce scenicznej pt. „Wiosna ludu (Rok 1848 w Końskiej)", wydanej w r. 1936, przedstawił Oszeldę na tle wypadków we wsi podcieszyńskiej — a motyw ten, mniej zręcznie, powtórzył niedawno **Gustaw Przeczek** w widowisku ludowym pt. „Powiew wolności" (Czeski Cieszyn 1948). Sekcja literacko-Artystyczna przy Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym). Ostatnio **Paweł Kubisz** wprowadził Oszeldę do swej udramatyzowanej „Opowieści wydziedziczonych" (Czeski Cieszyn 1949, wyd. jak wyżej), przedstawiając — wśród innych fragmentów — Oszeldę w dialogu z Szelą. Wymowne i ciekawe to zestawienie. Szela mówi:

Gospodarstwo cesarz dał, cesarz dał —
Nie w Smarzowej, nie w Smarzowej!
Za ten potok krwi i ciał, krwi i ciał
W Bukowinie mam przychówek!

A Oszelda:

Praw chciałem i ojczyzny chciałem,
I rządów chłopskich bez królów i carów!
Nigdy cesarzom w Wiedniu nie ufałem
Anim swe ręce zbrukał od ich darów!

— — — — — — —

Na Szpilberg... do więzienia
Idę zesłany przez cesarza!
By dni w lata przemieniać,
Tam Polskę w jawę stwarzać!

Ludwik Brożek.

Wśród CZASOPISM

„Nauka czytania i pisania jest najskuteczniejszą formą zwalczania analfabetyzmu" — taką oto maksymę włożono żartem w usta (czy raczej pod pióro) „przedwojennego" prezydenta RP Mościckiego. Głębokość tej urojonej wprawdzie maksymy stała się jednak w stosunku wprost proporcjonalnym do rezultatów ówczesnej akcji likwidowania analfabetyzmu. Stąd otrzymaliśmy w tej dziedzinie spadek wprost hańbiący, od którego rumienią się strony wydawnictw statystycznych, na których umieszcza się go w kolumnach cyfr. Dlatego z tym głębszą satysfakcją patrzymy na to, co robi się u nas w tym kierunku po wojnie, a zwłaszcza na to, co zaczęto robić w ostatnich miesiącach i tygodniach.

Ale nauka czytania i pisania nasuwa natychmiast inny problem — sprawę obowiązującej obecnie pisowni. Żywot jej jest niedługi. W tej formie, jaka dzisiaj obowiązuje, otrzymaliśmy ją po straszliwej i niemal krwawej kampanii polemicznej w roku 1936. W bieżącym zatem roku wchodzi ona w feralny trzynasty rok swego istnienia. A zatem już trzynaście lat zlewają ją łzami młodociani i obsypują przekleństwami dorośli, którzy mają ambicję pisać poprawnie (a jest ich niestety niewielu). Kto nie pamięta owych bojów ortograficznych sprzed trzynastu lat, nie uwierzy może, jeśli mu powiemy, że Komitet Ortograficzny Polskiej Akademii Umiejętności opracowując tę pisownię, kierował się zasadą uproszczenia jej i ułatwienia. Tak rzeczywiście było, ale nie mniej pisownia jest trudna i przeciętnego człowieka, który się nią posługuje niejednokrotnie wyprowadza z równowagi. To wyprowadzanie odbywa się najczęściej na tle „wyjątków", w które obfituje każda gramatyka, a których śmiertelnie nienawidzą ci, którzy muszą je utrwalić sobie w pamięci. Humorystycznym, ale trochę i znamiennym faktem jest, że do dziś zachowali się wśród ludzi piszących i drukujących (i to niepoślednich) tacy, którzy z uporem trzymają się ortografii sprzed roku 1936.

Opory wobec niedawno wprowadzonej pisowni wystąpiły z nową siłą tu i ówdzie po wojnie. Znaleźli się tacy przeciwnicy obowiązującej ortografii, którzy określili ją ze względu na trudności w niej zawarte jako niedemokratyczną i szlachecką. Byli tacy, którzy od reformy pisowni chcieli zaczynać budowanie nowej niepodległości. Krzyki te z czasem ucichły i dalej trwają czasy cichego cierpienia, tzn. zmagania się z tym, czego od nas nasz system ortograficzny wymaga.

Ale zwolennicy ortograficznego życia ułatwionego nie zasypiają gruszek w popiele. Oto niedawno stały felietonista poczytnego *Expresu Wieczornego*, Jerzy Wyszomirski zaczął grzmieć na nowo przeciwko rzekomym przeżytkom naszej pisowni, a przede wszystkim przeciw niektórym jej reformom wprowadzonym w r. 1936. Grzmi więc przeciw jednolitym końcówkom -ym, -ymi dla rzeczowników męsko-osobowych i męsko-rzeczowych, bo komplikują czasem sens. Zwalcza więc uproszczenie idące po linii wymowy ogólnopolskiej, a równocześnie żąda uproszczeń, jak najdalej idących: zniesienie ó, rz, ch, nie zdając sobie najoczywiściej sprawy, że proponuje bałagan już zgoła fantastyczny. Śnią mu się dalej jeszcze i takie luksusy jak zastąpienie dźwięków oznaczonych dwiema literami (cz, sz) znakami jednoliterowymi na wzór czeskich. W tym wypadku pobieżne obliczenie kosztu związanego z przeróbkami będących w użyciu maszyn drukarskich i maszyn do pisania dałoby bardzo interesujące kwoty. A jeśli znaki te przejściowo mielibyśmy tworzyć przez dwa uderzenia klawisza na maszynie czy linotypie (jedno dla litery, drugie dla znaku), oszczędność czasu byłaby rzeczywiście znakomita.

Dlaczego o tym piszemy? Otóż po prostu dlatego, że tego rodzaju niedowarzone, felietonikowe projekty reform ortograficznych sieją niepotrzebnie zamieszanie. Budzą rozgoryczenie tych, którym nie chce nauczyć się raz na zawsze ortografii, stwarzają atmosferę prowizoryczności i oczekiwania na zmiany, które ułatwią pisanie. Nie zdający sobie sprawy ze złożoności i trudności problemu czytelnicy łudzą się pod wpływem takich wystąpień, że za tydzień lub dwa nastąpi w Polsce rewolucja ortograficzna, po której nie trzeba się już będzie uczyć pisowni, wszystko będzie jasne jak słońce i wszystkim od razu będzie się pisało jak z płatka. A tymczasem w żadnym z wyrobionych, bogatych i mających długie tradycje rozwoju języków, nie istnieje system ortograficzny łatwy, którego nie trzeba by się uczyć, który nie nasuwałby takich czy innych trudności. Ucząc się angielskiego, francuskiego, rosyjskiego, niemieckiego, jakoś nie narzekamy specjalnie na trudności w opanowywaniu zasad pisania, które w każdym z tych języków też istnieją i przeważnie są znacznie wyższe niż u nas. Uczymy się ich i tyle. Tylko do własnej mowy mamy ustawiczne pretensje, że w pisaniu jest za trudna, że pisowni nie można „wyssać z piersi matki", lecz trzeba ją kupić za 200 czy 300 złotych, nauczyć się z grubsza i mieć stale pod ręką (bo tak postępuje człowiek szanujący swój język). Rzecz oczywista, że obecny nasz system ortograficzny nie jest idealny i sporo jeszcze można by w nim ujednolicić oraz ułatwić bez szkody dla piękna i formy języka. Nie łudźmy się jednak, że zdołamy stworzyć ortografię, która sama będzie lazła do głowy. Tam, gdzie ma panować porządek, musimy zdobyć się na niejedno wyrzeczenie ułatwień. A każdy zgodzi się, że w systemie wzajemnego porozumiewania się porządek jakiś i to możliwie najbardziej logiczny panować musi. I dyscyplina. Gdybyśmy zamiast polemizować z obowiązującym systemem ortograficznym, zechcieli się go rzetelnie nauczyć, gdyby uczono go rzetelnie w szkołach, gdyby przestrzegano go uczciwie w prasie, wiele jego trudności znikłoby na pewno. Trudności polegają tu na tym, że nikomu nie chce się tego opanować. Ludzie drukujący zwalają ten obowiązek na nieszczęsnych korektorów, których wobec wzmożonej produkcji słowa drukowanego mamy stanowczo za mało, a korektorzy zamiast pilnować składaczy, muszą jeszcze pilnować autorów. Ludzie pisujący tylko listy do znajomych i do redakcji oraz załatwiający „urzędowe kawałki" z góry rozgrzeszają się z ¾ obowiązujących przepisów ortograficznych.

P. Wyszomirski felietonami swoimi znów narobił zamieszania. Cieszy się z otrzymywanych listów, przedrukowuje je w wyjątkach i pomnaża swoje projekty reformatorskie o jeszcze nowe, bezkrytyczne pomysły. A tu tymczasem w okresie walki z analfabetyzmem trzeba by wypowiedzieć drugą walkę na froncie zaawansowanych: walkę z analfabetyzmem ortograficznym. Do tej akcji trzeba by jeszcze dołączyć jedną prośbę: nie reformujmy wszyscy nieszczęsnej pisowni, bo ludzi umiejących na ten temat powiedzieć coś naprawdę rozsądnego jest u nas bardzo niewielu. (ki)

Z teki plastyków śląskich

Paweł Steller: Fragment Katowic

„Wieczór Trzech Króli" w Bielsku

Przed kilku dniami Państwowy Teatr w Bielsku i Cieszynie, przeżywał nie codzienną uroczystość — 30-lecie pracy scenograficznej Feliksa Krassowskiego. Uroczystość tę uświetniono wystawieniem szekspirowskiego „Wieczoru Trzech Króli" w opracowaniu dekoracyjnym Jubilata.

Krassowski, zdolny malarz i doskonały scenograf ma za sobą nie tylko bogate doświadczenie własne, ale i dobrą szkołę. Teatralnej sztuki dekoracyjnej uczył się bowiem u takiego erudyty jak prof. Drabik w Warszawie. Od teatru „Studio" w Kijowie przez Teeatr Narodowy w Toruniu, Poznaniu, Bydgoszczy, Częstochowie i Sosnowcu — przewijają się dzieła jego pracy twórczej, zawsze świeżej, zawsze poszukującej odkrywczych rozwiązań. Wynikiem jego śmiałych poszukiwań i doświadczeń scenograficznych jest bardzo ciekawa praca, wydrukowana w r. 1926 pt. „Scena narastająca".

Po wojnie Feliks Krassowski został scenografem w Bielsku i Cieszynie, gdzie już w r. 1947 wyróżnił się chlubnie uzyskując jedną z nagród na ogólnopolskim konkursie szekspirowskim, za skomponowanie dekoracji do „Poskromienia złośnicy". Nic też dziwnego, że jubileusz tego artysty ściągnął na „Wieczór Trzech Króli", tłumy publiczności, a podczas uroczystości jubileuszowych tradycyjnie obchodzonych po drugim akcie, deszcz gratulacyjnych depesz z całego kraju. Feliks Krasowski podziękował za wszystko z góry, pięknym gestem szczerego artysty: pełnymi uroku dekoracjami do Szekspira.

A teraz parę słów o samej premierze, o nieśmiertelnym widowisku komediowym, wzruszającym i rozśmieszającym nieodmiennie wszystkie widownie świata od 350 lat. W żadnej może komedii, „człowiek, który się Szekspirem zwał" nie objawiał nam się pełniej i bardziej wszechstronnie niż w „Wieczorze Trzech Króli". Przy tym wszystkim jest to typowa komedia pozorów, w której błazen filozofuje, wyniosłe osoby książęce kochają zwyczajnie po ludzku, a wyśmiewany dudek Malvolio jest w istocie postacią z piekła rodem, zdolny zniweczyć bez skrupułów całą tę sielankową harmonię dźwięczącą nieco sennie pod spokojnym niebem Ilirii. Ileż tu nie udanych zakusów, ile wyśmianych afektów, jakie bogactwo intryg. Od zwyczajnych nieporozumień godnych pierwszej lepszej budy kuglarskiej z epoki elżbietańskiej (exemplum: kłopoty z sobowtórstwem Violi i Sebastiana) przez niezbyt wybredne igraszki Marii z trójką solistów Czkawką, Chudogębą i Fabianem — aż do subtelnych w rysunku postaci Błazna i Malvolia, wszystko to przenika przez siebie, krąży, powraca, wszystko to tworzy w sumie jakże bogatą i barwną wizję wielości człowieczych upadków i wzlotów. Do tego tylko miejsca dochodzimy wraz z Szekspirem, czujemy jednak doskonale, że autor powędruje znacznie dalej, niż najbystrzejszy z widzów, by z wysokości spoglądać na stworzony przez się światek. Nie miejmy do niego o to pretensji — to przecież przywilej geniuszów.

Podejrzewamy jednak, że Malvolia boi się sam autor. Jego jedynego. I prawdopodobnie, gdy spogląda na ten płód swej twórczej myśli, nie stać go na uśmiech.

Premiera bielska przygotowana reżysersko przez dyrektora Stanisława Kwaskowskiego, dała nam Szekspira poprawnego, opracowanego rzetelnie i z dużą dbałością o czystość słowa. Nie możemy tego niestety powiedzieć o samym przekładzie L. Ulrycha — niemal współczesnym Szekspirowi, sądząc z archaizmów. Piękne, nie tyle stylowe ile stylizowane dekoracje są, jak już wspomnieliśmy, dziełem Jubilata.

Jeżeli idzie o wykonawców — to miłą niespodzianką był udany „szekspirowski" występ Jerzego Bieleckiego w roli księcia Ilirii — Orsino. Odrobinę przerysowana deklamacja, oto grzech jakiego się nie ustrzegł szlachetny amant na tronie. Z pozostałych wykonawców wybiło się „rodzeństwo" Viola (Teresa Marecka) i Sebastian (Ryszard Marzecki). Poniżej poprawności wypadł Kurio, dworzanin księcia; prawdopodobnie dlatego, że musiał ćwiczyć dykcję do roli żandarma. Nie wiem, kto był komendantem żandarmerii w Ilirii, ale powinien za swego podkomendnego odpowiadać dyscyplinarnie.

Za to nie słyszeliśmy również muzyki iliryjskiej. Ale może to i lepiej...

ALBA

Scena z „Wieczoru Trzech Króli" w Państw. Teatrze Polskim w Bielsku

Bielecki (Orsino) i Marecka (Viola)

Klimat kulturalny Katowic

Jest taka gadka, zdaje się francuska: „Miłość przypomina upiora, każdy o nim mówi a nikt go nie widział." Powiedzonko to, mutatis mutandis — można by zastosować do naszego zagadnienia. O klimacie kulturalnym Katowic mówi się dużo i chętnie i to jest bodaj wszystko, co się robi, by problem ten rozwiązać.

Przyjrzyjmy się po krótce strukturze tego zagadnienia. Więc przede wszystkim podłoże kulturalne: odbiorca, żeby się tak wyrazić, klient kultury. Sprawa ta łączy się najściślej z umasowieniem, jak najszerszej pojętą demokratyzacją zagadnień literatury, teatru, plastyki, muzyki czy nauki. Tutaj stwierdzić możemy, że sprawa ta ma dwa, zupełnie różne oblicza. Jednym z nich jest ogół warunków określających współpracę twórców i odbiorców dzieł kultury w samych Katowicach, stolicy województwa, w której z natury rzeczy, skupiają się i krzyżują przynajmniej pod względem organizacyjnym wszystkie niemal dźwignie, przewody i faktory akcji kulturowych całego terenu Śląska, Zagłębia i Opolszczyzny.

Zupełnie zaś inne oblicze ma właśnie wyżej wymieniony teren. Chłonny, kipiący zainteresowaniami, spragniony zawsze teatru, słowa czy pieśni — teren śląski. Zawsze wdzięczny, zawsze czekający.

Odrazu też powiedzieć należy, bez wahań i niedomówień, że świadomość tego zobowiązuje wszystkich pracowników kultury na Śląsku. Poetów do wierszy poświęconych jego chmurnemu obliczu, malarzy do szafowania sepią i zielenią, bo z tych dwu barw składa się przede wszystkim koloryt śląskiego dnia, — muzyków czy dramaturgów do komponowania pieśni i widowisk dla tego, tak rozśpiewanego zakątka Polski.

Artysta pracujący na Śląsku, zobowiązań tych dotrzymuje w miarę swych możności. Pisarz siedzący większą część dnia za biurkiem w urzędzie, czy wykładający w szkole — znajdzie zawsze dość czasu na to, by w Głogówku mówić o Mickiewiczu, w Chorzowie pomóc amatorskiemu teatrowi a na Opolszczyźnie rozdzielać książki wraz z innymi ludźmi dobrej woli.

Muzyk otrzymujący państwową nagrodę, odrywając zmęczone palce od klawiszy po którejś z rzędu lekcji z nie zawsze pojętnym uczniem, komponuje pieśń dla młodzieży śląskiej, którą już za parę tygodni śpiewać będą młode głosy w świetlicy huty „Laura" czy junacy S. P. w Mysłowicach. Objazdowa wystawa plastyków śląskich zwiedza całe województwo, docierając nie tylko do Będzina czy Nysy, ale i do wsi pod odległym Niemodlinem i do osady fabrycznej, za Bytomiem. Twórcy-malarze, zwiedzają w tym samym czasie szereg wsi śląskich w charakterze instruktorów w miejscowych ogniskach kultury plastycznej dla amatorów. A teatry Śląsko Dąbrowskie docierające ze zorganizowanymi przedstawieniami do najdalszych zakątków województwa. 86 przedstawień miesięcznie, codzienne wyjazdy poza Katowice — mówią same za siebie. Nierzadko ten sam artysta uczestniczy tego samego dnia w jednej próbie i dwóch przedstawieniach, przepracowując w ten sposób kilkanaście godzin na dobę.

Tyle, jeżeli idzie o fakty.

Tę zatem stronę naszego zagadnienia możemy podsumować spokojnie, z uczuciem dobrze spełnionej powinności.

A Katowice?

Otóż to — Katowice, skupiające w sobie olbrzymią większość twórczości artystycznej Śląska — są w położeniu znacznie gorszym. Nastawione twórczo i odtwórczo na klientelę terenu zaniedbują własne podwórko, jakie z kolei jałowieje w sposób coraz bardziej widoczny. Jest to prawda, której nie ma po co ukrywać. Odważni eksploratorowie przemierzający obszar całego województwa, pionierzy terenu, z taką werwą grający czy recytujący wiersze w Zagłębiu, malujący huty w nocy i kopalnie w dzień, wracamy w Katowicach do swych biurek i uczniów, fortepianów i maszyn do pisania. W nielicznych wolnych chwilach próbujemy zmieścić swój własny, lokalny krajobraz kulturalny między rzadkimi premierami teatralnymi, jeszcze rzadszymi imprezami literatów a świecącymi pustkami wystawami plastyków.

Niejlepiej stosunkowo przedstawia się sprawa z koncertami Filharmonii. Można tam czasem — o dziwo — nie dostać biletu wstępu. Sala pełna. Ale i to niezbyt często się zdarza. Nic dziwnego, że w takich warunkach odbiorczych twórcze indywidualności artystyczne nie tyle dojrzewają ile kisną. Artystom brakuje w Katowicach ekranu, na jaki powinien padać jeżeli już nie blask talentu to przynajmniej jego cień.

Tymczasem u nas tych ekranów nie ma, albo co gorsza ludzie noszą je na plecach. Spróbuj wtedy co zobaczyć! —

Gorzkie te słowa, ale nie trzeba przebierać w słowach, gdy idzie o rzecz naprawdę bardzo istotną — o atmosferę artystyczną w jednej z wojewódzkich stolic Polski, o miasto duże i mające obok innych ważnych zadań, również i obowiązek reprezentowania kultury tej części Polski, która ma i zawsze będzie miała takie same aspiracje do udziału w życiu duchowym całego kraju, jak Kraków, Łódź czy Warszawa. Tę sprawę trzeba wreszcie raz wyraźnie postawić. Nie ma i być nie może w Polsce miejsca na jakikolwiek partykularz kulturalny. A starania o to, by tak naprawdę nie było zależą w równej mierze od nas samych jak i od naszych „bogatych krewnych" w kulturze, w wyżej wymienionych ośrodkach artystycznych Polski.

Oczywiście, że możemy poprzestać na wyliczeniu i podsumowaniu wszystkich premier teatralnych, koncertów, wieczorów literackich i wystaw plastyków.

Wtedy w tej materii zapanuje zasłużony spokój i zadośćuczynienie właściwe każdemu zadowolonemu ze swych osiągnięć środowisku artystycznemu.

Z tego też powodu uwagi nasze można z równym powodzeniem czytać od końca.

Dla ułatwienia tego zadania naszemu czytelnikowi kończymy nasz artykuł tytułem:

„Oto jak wygląda klimat kulturalny Katowic".

Aleksander Baumgardten

Natchniona wystawa pokoju

PRAGA, w maju 1949.

W Pradze, wśród normalnego tutaj nawału bardziej czy mniej wartościowych wystaw, wyróżnia się ostatnio wystawa znanego malarza czeskiego, Jaromira Jindry, poświęcona zagadnieniom zanikających z dnia na dzień w Europie śladów wojny. Wystawa nosi tytuł: *„Stopy valky zarustaji"* („Ślady wojny zanikają"), obejmując zaledwie 58 temper oraz węglowych szkiców; lecz nie ilość musi każdemu zaimponować: uchwyci je credo, że zawsze i wszędzie zwycięża pokój.

Jaromir Jindra: Witamy nowy okręt (Szczecin 1948)

Jaromir Jindra (urodzony 1895 w Pradze) jest uczniem słynnego pejzażysty F. Eugenmüllera. Studiował początkowo w Pradze, potem we Włoszech, w Paryżu i Wiedniu. W latach 1925—1938 przewędrował całą omal Europę, specjalizując się w pejzażach Jugosławii, Włoch i południowej Francji. Jego twórczość, niesłychanie żywa, kipiąca werwą i ruchem — twórczość zdolna wyrażać zarówno tragizm jak i radość z życia — przerwana została w grubiański sposób w czasie okupacji. Jindra zaniechać musiał podróży — nawet po własnym kraju. Siadywał więc i siadywał, 6 z górą lat, przy kilku drogach, wiodących z różnych stron do Pragi — obserwował ruch, zgiełk, nastrój odbywanych cichaczem spacerów, zalękłe dzieci czeskie bawiące się w piasku, perspektywę drutów, biegnących w przestrzeń — ciągle bez słowa: wolność. Dopiero z rokiem 1945 odżyła w pełni Jindrowa ulica. Ach, ileż barw, ile śmiałych i zawsze trafnych rzutów, ile rytmiki wprost zawierają w sobie powojenne tempery tego jedynego w swoim rodzaju malarza ulic!

Artysta obrał bardzo pozytywny i odpowiedzialny temat: nakreślić grozę zwyciężonej wojny, oddać sens i rytm rosnącego w siłę pokoju, wir pracy — stubarwną radość kwiatów błyszczących na wczorajszych gruzach. Mocny, przejrzysty, niedwuznaczny cykl obrazów Jaromira Jindry przestrzega wszystkich przed wojną, wykazując zarazem, ile każdemu dać może pokój. Powtarzam: każdemu. Toteż malarz, utrwaliwszy na kilkunastu kartonach niezapomniane dni Pragi z maja 1945, udał się następnie do Wiednia, Francji i do Londynu, krocząc stale śladami wygasłej wojny. Widzimy obok szczątków Dunkierki, Arromanche i Caen, obok resztek wału Atlantyckiego — ruiny katedry św. Pawła w Londynie, zgliszcza Piccadilly, zburzony Wiedeń — miasto, o którym Jindra pisze w swoim notatniku: „kara je spotkała, ludzie rozłażą się w nim jak przestraszone robactwo". O Piccadilly znajdujemy nie mniej charakterystyczny cytat: „Sierpień 1947. Stoję przy sztalugach w asyście licznych ciekawskich, na samym środku placu, który londyńczycy pysznie określili, że był „pępkiem świata". A dzisiaj? Reklamy na wypalonych, zbombardowanych domach towarowych i czynszowych pałacach wiszą jak błazeńskie wyświechtane maski". Wał atlantycki — zaznacza na innym miejscu malarz — jego bunkry i okrzyczane „ultra - fortece" zamieniono dzisiaj po prostu (i pożytecznie) na... ustępy publiczne.

Jindra — jak okazuje się — jest nie tylko zdolnym pejzażystą, posiada również wiele trzeźwego zmysłu reporterskiego. Z prawdziwą satysfakcją wertujemy jego zwięzłe i rzeczowe „anabasy", kreślące w kilku zdaniach genezę każdego z wystawianych obrazów.

Najwięcej stosunkowo uwagi poświęcił artysta powojennej Polsce. W ciągu niespełna trzech miesięcy (czerwiec — lipiec — sierpień), spędzonych u nas w 1948 r. nad morzem i w Warszawie, stworzył on bogaty cykl 40 oryginalnych pod każdym względem obrazów. Ta „polska przewaga" rzuca się każdemu natychmiast w oczy. Jesteśmy z niej dumni. Jindra podchodzi do nas, ściska serdecznie ręce i jakby usprawiedliwiał się:

— Wiecie Panowie... moja wystawa, to właściwie miałaby nosić nazwę „Polska zabliźnia rany wojny". Wasz zapał najbardziej mnie natchnął.

Oglądamy z kolei, uważnie, obraz za obrazem. Gros zajmuje Warszawa — ale jaka Warszawa! Warszawa zupełnie inna, niż w tragicznym ujęciu Jaroslava Paura, lub naszego Tadeusza Kulisiewicza. Wśród gruzów kotłuje się nowe życie, wznoszą się silne ramiona żurawiów i rusztowań, słońce ogrzewa tysięczne tłumy na Marszałkowskiej — na wołających o pomstę ruinach bohaterskiego ghetta, rośnie spokojnie trawa i gdzieniegdzie kwiaty. To jest Warszawa z 1948 roku — to jest Polska: nieugięta, pełna życiodajnej inicjatywy; jakkolwiek Polska zupełnie i wyraźnie powszednia.

Osobny essay wypadałoby poświęcić twórczości Jaromira Jindry na temat portów naszego Bałtyku. Wystawa praska obejmuje, między innymi, kilkanaście pejzaży z Gdańska, Gdyni, Szczecina, z Sopotu — przy czym artysta nie zapomniał tutaj o bohaterskiej Westerplatte, której poświęca długi, serdeczny komentarz. Nader typowa jest tempera, nazwana „Witamy nowy statek" (Szczecin, sierpień 1948), Reprodukujemy ją. Czytelnik, przyjrzawszy się dokładnie, może uchwycić sedno pozornie niedbałej (a jak głębokiej zarazem psychologicznie!) techniki Jaromira Jindry. Żadna plama nie poszła tu na marne. Postacie zastygłe są jakby w którejś „nieuchwytnej" sekundzie ruchu. Niebo łagodne — morze milczące i ciche. Na świecie pokój.

Szkoda, na prawdę szkoda, że nie możecie tego wszystkiego podziwiać w kolorach. Jednobarwna reprodukcja daje wam małe, bardzo znikome wyobrażenie o faktycznych możliwościach Jindry. Jego wystawę powinniśmy wszyscy zobaczć w Polsce i to jak najprędzej, zanim uprzedzi nas zagranica. Dziecko zrozumie tę wystawę, doceni ją człowiek pracy, bo prosta jest i przemawiająca do serca — mówi o wzniosłym powszednim trudzie nas wszystkich. Kto wie, może niejeden zakapturzony malkontent, patrząc na Polskę oczyma artysty-malarza Czecha — uzmysłowi sobie ją wreszcie we właściwych odcieniach. Optymizm, bijący z każdego szkicu czy obrazu Jaromira Jindry, jest rozbrajająco zaraźliwy. I w tym właśnie leży wielkość tego skromnego, trzeźwego, głoszącego pokój realisty.

Aleksander Kulisiewicz

Krótkie spięcia

Uwagi marginesowe

Muzyka w konserwach, czyli po prostu płyty gramofonowe i inne tego rodzaju urządzenia, zaklinające w tajemniczy sposób dźwięk w jakiś niepozorny materiał, to bardzo dobry wynalazek, ale posiadający jak każdy bardzo dobry wynalazek, swoją ujemną stronę.

Mianowicie owa strona ujemna polega na tym, że zakonserwowana muzyka zbyt szybko się popularyzuje, a tym samym przejada. Znamy to wszyscy z własnego doświadczenia. Podoba nam się jakaś melodia, melodyjka, czy — melodyjeczka (niech raz powstanie i taki dziwoląg językowy), niby nic wielkiego, ale ładne. Ot, w naszym guście. Zresztą dlaczego mamy się zaraz snobować i twierdzić, że my tylko Bacha a nigdy Offenbacha, że u nas linia generalna idzie wyłącznie od Beethovena do Prokofiewa, że dla nas jedynie symfonie, sonaty i etiudy, a broń Boże żadne tanga, lub co gorsza foxtrotty, albo że dla nas rumba czy rumbarbarum to wszystko jedno?

My, oczywiście w niczym nie negując wartości i znaczenia muzyki klasycznej i wielkiej (zwanej czasami w duchu — do czego jednak nigdy się nie przyznajemy — ciężką, o ile nie zwyczajnie— piłą) lubimy muzykę lekką, taneczną, taką „ot sobie" (zwłaszcza, że jazz już dawno przestał być pogardzaną dziedziną twórczości). No i, jak już zaznaczyliśmy, podoba nam się ta czy inna melodia, lub melodyjka, tymczasem cóż — podoba nam się tylko przez krótki okres czasu. Bo ledwie nam się spodobała, a już słyszymy ją wszędzie. A specjalnie przez radio. W rubrykach „Koncert życzeń", „Muzyka lekka", „Muzyka z płyt gramofonowych", „Muzyka taneczna" itd. Za przykładem zaś radia, każdy to śpiewa, nuci i gra, począwszy od naszych bliskich znajomych, a skończywszy na rozpaczliwych śpiewakach-grajkach, rzekomych kalekach i inwalidach, w pociągach, tramwajach i innych środkach publicznej lokomcji.

Właściwie na to nie ma rady. Nie jesteśmy ekskluzywni w naszych gustach, i jeśli coś nam się podoba, to podoba to się również i wielu innym. Nic więc dziwnego, że „chwytliwa" melodia chwyta wszystkich, a po jakimś czasie staje się przejedzonym produktem, a w końcu prawdziwą katorgą dla słuchającego.

Ileż to miłych i sympatycznych tzw. „kawałków" skończyło w taki niesławny sposób swój krótki żywot, nieraz ku naszemu nieutulonemu żalowi! Ileśmy razy już myśleli: „Ach, gdybyśmy rzadziej słyszeli na ten przykład „Przeminęło z wiatrem, wszystko się skończyło...", (lub coś w ten deseń) to byśmy dzisiaj nie dostawali mdłości z powodu tego wiatru (czy czegoś innego w ten deseń)...!"

Dlatego też międzynarodowy kongres fonograficzny (jest i taki) który się odbył niedawno w Paryżu powziął w sprawie popularnej muzyki w konserwach pewne uchwały. Mianowicie, żeby co celniejszych utworów za często nie nadawać przez radio, gdyż to właśnie powoduje dewaluację „tychże".

Święta racja, tylko że zdaje się, iż ta uchwała będzie zupełnie na nic.

Bo z melodiami jest jak z kobietami. My swoje, a one swoje. Rozejdą się (t. zn. melodie nie kobiety) bez względu na to, czy będziemy ograniczać ich słuchanie, czy nie. A jednak szkoda...

NIEJAKI X

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.

R 019600